

TATERNIK

2
1994





Spis treści

„Nigdy nie związałam się liną”	1
Lhotse '94 - dokończona trylogia	2
Dhaulagiri czyli weather report	4
Samo życie... pod K2	6
KR8 zdobyty	7
Sprawozdanie z wyprawy „Garhwal '94”	9
Borondo Sar	10
Walijska opowieść	11
British Mountaineering Council	13
„Nowe nartostrady” w Tatrach	15
Co fotografujemy	17
Spacerkiem po sklepach	22
Staż instruktorski w ENSA	24
Leoganger Steinberge '94	25
„Betleensa”	26
Wartości dodatkowe	28
Co nowego w Tatrach	30
Kongres UIAA w Stambule	34
Rock Master	36
Sport wspinaczkowy	37
Więści z gór	39
Konkurs fotograficzny	42
Historia	43
Jaskinie i speleologia	44
Więści organizacyjne	46

Zdjęcie na okładce: Rüdiger Schleypen
w drodze na Ama Dablam (6856 m), październik 94, fot. Ryszard Pawłowski

Zdjęcie obok: Mały Kieźmarski Szczyt
i Kieźmarski Szczyt z grani Baranich Rogów, fot. Jerzy Pepoł

ISSN 01373155

Wywiad z Hanną Wiktorowską

„Nigdy nie związałam się liną”

- Haniu, trzeba przyznać, że 35 lat w jednej pracy to wynik budzący szacunek. Dla przynajmniej kilku pokoleń polskich alpinistów jesteś człowiekiem-instytucją. Wszyscy znają Hannę Wiktorowską - Sekretarza Generalnego PZA. Powiedz, jak to się zaczęło?

Zaraz po maturze przez chwilę pracowałam w biurze projektów, a potem zostałam referentką w związku zapasniczym. I pewnie bym pracowała tam do dzisiaj, gdyby nie zbieg okoliczności. W czasie kursu narciarskiego na Hali Gąsienicowej poznałam Andrzeja Sobolewskiego (dzisiejszego skarbnika PZA) i on namówił mnie do przejścia do ówczesnego Klubu Wysokogórskiego.

- Czyli zrobiłaś w pewnym sensie historyczny skok przez ścianę do sąsiedniego związku sportowego?

Tak jest. Dokładnie 1 grudnia 1959 r. rozpocząłam pracę wśród taterników. Bardzo mi się wszystko podobało, pensja była wprawdzie „średniutka”, ale za to czuło się smak wielkiej przygody. Od 1965 r. byłam już kierownikiem biura, a od 1969 r. stałam się - i ten stan trwa do dzisiaj - urzędującym członkiem Zarządu.

- Że się tak wyrażę, „przeżyłaś” przynajmniej paru prezesów.

Pierwszym był pan Czesław Bajer, potem byli Jurek Fiet i Leszek Łacki, ale to były krótkie kadencje, potem był Antoni Janik i wreszcie nastąpiła epoka Andrzeja Paczkowskiego. Uprowadzając twoje pytanie powiem, że z Andrzejem pracowałam mi się najlepiej, pewnie za sprawą Jego szerokiego horyzontów. Wiadomo, profesorska głowa.

- Wróćmy na chwilę do lat odległych. Nie wszyscy pewnie wiedzą, że masz za sobą piękną karierę sportową.

Byłam koszykarką I-ligowej „Polonii”, zdobyłyśmy nawet wicemistrzostwo Polski, potem grałam jeszcze, ale dość krótko, w WKS „Gwardia”. Ponadto, przez 4 czy 5 sezonów, niejako równolegle byłam lekkoatletką „Warszawianki”. Skakałam wzwyż i w dół, pchałam kulą i rzucałam dyskiem zależnie od potrzeb. Mój dorobek medalowy to srebrny i brązowy medal „Za wybitne osiągnięcia sportowe”.

- A sporty górskie?

Uprawiałam turystykę z ojcem, chyba od 14 roku życia, jeździło się wtedy z Warszawy do Zakopanego 20 godzin, byłam w Rile i Pirenejach, odwiedziłam nawet Indie z grupą trekkingową, ale nigdy nie wspinałam się z liną.

- Powiedz, proszę, co się zmieniło w pracy biura PZA?

Kiedyś byliśmy jednym wielkim biurem podróży. Załatwiałam rocznie po 300-400 paszportów, do tego bilety, wizy i dewizy, zezwolenia na wywóz żywności (wszystkie dokumenty w 6 egzemplarzach), słowem, było niezłe urwanie głowy. Sama się nawet dziwię, że zdołałam to



wszystko przeżyć. Dzisiaj jest bardziej normalnie. Czasami nawet zbyt cicho jak na mój gust.

- Które z polskich dokoną górskich wspominasz najczęściej?

Oczywiście zimowy Everest. Było to przeżycie wielkie jak Everest właśnie. Dzięki krótkofalowcom mieliśmy bezpośrednią łączność z bazą. Jak rozmawiałam z Bogusiem Jankowskim, to wręcz dostawałam gęsiej skórki z przejęcia. Te same emocje przeżywały zresztą wszystkie żony, narzeczone i mamusie, one też mają co wspominać. Jak czekałam w domu na telefon, bo chłopcy byli już o krok od szczytu, to zaafetowana obrałam zupełnie niepotrzebnie całe wiadro ziemniaków.

- Niestety, alpinizm nie składa się z samych radości...

Tylko ja jedna wiem, co przeżyłam. Dramat na Everestcie, tragedia na K2, i dziesiątki innych wydarzeń. Przecież ja ich wszystkich znałam, znałam też najbliższe rodziny. Wspólnie przeżywaliśmy stratę, ile to łez popłynęło...

- Powiedz, co uważasz za swój największy sukces?

Najbardziej jestem dumna z faktu, że jestem wśród was i, że wszyscy są dla mnie sympatyczni. Cieszy mnie też, że w czasie kolejnych zjazdów PZA wybierano mnie zawsze prawie maksymalną liczbą głosów, co chyba mam prawo odczytywać jako dowód uznania i zaufania. Może podoba się mój styl pracy, gdyż nigdy nie byłam urzędniczką. Moją pracę, chociaż może to brzmie niemiennie, zawsze traktowałam jako rodzaj misji społecznej i często wkładałam w nią więcej serca niż we własne prywatne sprawy.

- Jakie masz Haniu plany, emerytura przecież tuż, tuż?

Chciałabym popracować jak najdłużej, bo smutno mi będzie bez biura PZA. W końcu spędziłam za tym biurkiem 3/4 życia. Sądzę, że przydam się przynajmniej do czasu, kiedy nie zauważę pierwszych objawów sklerozy.

- Życzę Ci Haniu wszystkiego najlepszego, a nam wspólnego jubileuszu 40-lecia!

Rozmawiał: W.Ś.

LHOTSE 1994

— dokończona trylogia



Ryszard Pawłowski trzykrotnie brał udział w wyprawach na szczyt Lhotse (8516 m).

Pierwsza: 24 października 1985 r. na południowej ścianie, wraz z Rafałem Chołdą, oraz Jurkiem Kukuczką spędzają noc w namiocie na 8 tys. metrów. Rysiek schodzi do obozu płątego, a Rafał ginie kilka godzin później na trawersie kotła wracając z Jurkiem do namiotu.

Druga: 24 października 1989 r. również na południowej ścianie na wysokości około 8300 m wydarzył się wypadek, w którym ginie Jurek Kukuczka. Rysiek samotnie schodzi przez barierę skalną a następnie biwakuje na 8000 m. Powyżej płątego obozu spotyka wychodzących mu na pomoc Kopyśa i Pawlikowskiego.

Trzecia: 11 października 1994 r. Rysiek samotnie staje na wierzchołku Lhotse, po pokonaniu zachodniej ściany.

Do każdego ze szczytów 8-tysięcznych potrzebuję odrębnej motywacji, innego nastawienia psychicznego. Ma to dla mnie niesamowite znaczenie, szczególnie w trudnych sytuacjach, gdy należy wykazać silną wolę i odpowiednią determinację. Dlatego każdy z tych szczytów był w jakiś sposób szczególny. Broad Peak - bo był pierwszym moim 8-tysięcznikiem. Annapurna I - bo zdobyto ją w roku moich urodzin. Nanga Parbat - bo wyznaczyłem sobie wejście w 40 rocznicę jej zdobycia. Everest - bo był w moim planie „Korona Ziemi 94”, a ponadto jest najwyższy.

LHOTSE...

Była to jak dotychczas jedyna 8-tysięczna góra, która nie poddała mi się w pierwszej, ani nawet drugiej próbie. Zginęło na niej trzech naszych kolegów, między innymi Rafał Chołda i Jurek Kukuczka, a dodatkowo dla Jurka był to pierwszy ze zdobytych 8-tysięczników. Byłem liderem międzynarodowej ekspedycji, w skład której wchodziła dwójka Szkotów mających szansę na pierwsze brytyjskie wejście. Na koniec wreszcie, po gorących ostatnio dyskusjach czy Tomo Cesen był, czy też nie był na szczycie, a także czy z wierzchołka widać Kocioł Zachodni, czy też nie, chciałem stwierdzić to osobiście.

4 września na rumowisku lodowca Khumbu na wysokości 5350 m zakładamy bazę. W tym sezonie Sierpowie odpowiedzialni za ubezpieczenie lodowca ostentacyjnie nie spieszą się chcąc wytargować większe stawki. Każdego roku coraz wyraźniej widać niekorzystne zmiany zachodzące w mentalności tych do niedawna jeszcze ciągle uśmiechniętych i chętnych do pomocy ludzi. Nierzadko stają się agresywni, a pokorę i usługowość rezerwują dla tych którzy im więcej płacą.

Przymusowy tydzień odpoczynku wykorzystujemy na zawarcie znajomości z sąsiadami z innych wypraw, albo odwiedzającymi bazę trekker-

sami, w szczególności gdy są pici odmiennej. Najbliższe nas rozmieszczeni są Szwajcarzy, Loretan i Troillet. Ogłosili oni próbę przejścia trawersu grani Lhotse w stylu alpejskim, to znaczy bez zakładania stałych obozów, składów żywności, lin poręczowych, Szerpów, etc. Mimo że doceniam ich klasę, dają im niewielką szansę powodzenia. Długa ostra grań z nawisami śnieżnymi i dziewiczym środkowym wierzchołkiem wymagającym ekstremalnej skalnej wspinaczki powyżej 8 tysięcy metrów jest chyba zadaniem ponad ich siły. Na dodatek trzeba mieć dużo szczęścia, aby już pierwszego czy drugiego dnia nie zostać zdmuchniętym przez normalne o tej porze roku huraganowe wiatry. Kiedyś może jakiś następca Cesena przemknie to nocą po cichu i bez żadnych świadków, ale ja i tak w to nie uwierzę.

Zachodnia ściana Lhotse nie wygląda już tak groźnie jak wiosną tego roku, podczas mojej wyprawy na Everest. Zamiast szklistego, połyskującego lodu mamy twarde zmrożony śnieg, ale tylko do wysokości 7000 m. Powyżej trawersu prowadzącego na południową przełęcz, w linii spadku kuluaru, którym biegnie nasza droga, śnieg jest głęboki i miejscami lawiniasty. Wkopane głęboko w zbocze namioty przyniżane są masami śniegu ciągle zwiewanymi ze ściany. Nie czuję psychicznego komfortu, tym bardziej, że na serakach poniżej widziałem strzępy porwanych namiotów i jakieś butle tlenowe - pozostałość po ubiegłorocznej lawinie.

30 września pomagam chłopcom rozbić namiot na wysokości 7700 m, a sam wracam 200 m poniżej, do Rüdiger, który nie jest tak szybki jak oni, ale jako partnera nie zamieniłbym go na żadnego z nich. Jutro mamy zamiar spróbować szczęścia, chociaż ciągle wieje, jest lawiniasto i potwornie zimno.

1 października tuż po północy wychodzimy z namiotu. Umówiłem się z Alecem i Jeffem, że wspólnie wystartujemy z miejsca ich obozu o trzeciej nad ranem.

Lodowaty wiatr zmusza Rüdiger'a do odwrotu, nie chce ryzykować odmrożeń. Ma już 57 lat i stał się ostrożniejszy. Kilka lat temu na Broad Peak stracił kilka palców.

Wspinam się przy czołowce i coraz mniej mi się to podoba. Przecież gdyby zgasła, przy próbie jej naprawy odmrożenia mam pewne jak w banku.

Cholernie nie lubię się wspinać nocą w Himalajach, zwłaszcza gdy jest tak ciemno jak teraz, a wczorajsze ślady są zawiane. Pocięszam się, że w razie czego zawrócę, w dół jest zawsze szybciej. Ponad dwie godziny zajmuje mi dojście nad pierwszą barierę, gdzie powinien być namiot chłopaków.

Z duszą na ramieniu trawersuję lawiniaste zbocze w tę i z powrotem, pokrzykując co jakiś czas, i w żaden sposób nie mogę ich odnaleźć. Zrezygnowany siadam na wykopanej w śniegu półce i rozgrzewam zmarznięte nogi. Po dłuższej chwili oswojone trochę z ciemnością oczy wypatrują ciemny kształt, całkiem nawet blisko od miejsca w którym jestem. Uszczęśliwiony podchodzę do namiotu, ale wewnątrz nikogo nie ma. Jestem wściekły! Przecież umawialiśmy się, a ja nie spóźniłem się ani o minutę. Dochodzące wysoko z kuluaru głosy i błyskające blade światelka dowodzą, że musieli wystartować kilka godzin wcześniej. Ładna mi wdzięczność za wczorajszą pomoc. Chole-rni westmeni. Ślady są zawiane, więc nie będę ich ściagał. Zresztą pogoda nie jest

najlepsza, na grani wieje, a kuluarem sływa rzeka sykiego śniegu. Wypijam niesioną w termosie herbatę i już bez żalu wracam do namiotu poniżej, chociaż gnębi mnie myśl, że to nie ja będę pierwszy. Staram się ich zrozumieć, tym bardziej że Alec jest niezwykle ambitny i chce być pierwszym Brytyjczykiem na szczycie. Ma duże szanse, był moim klientem na Ama Dablam i Pumori, a wiosną tego roku wszedł na Shisha Pangma. Przypuszczalnie nie są sami, wieczorem powyżej widziałem dwójkę Szwajcarów.

Po południu dostrzegamy cztery schodzące postacie. Wszyscy są potwornie zmęczeni, chociaż tylko Loretan i Troillet dotarli do szczytu. Jeff ślania się na nogach i co kilka kroków pada w śnieg. Alec jest odmrożony i psychicznie załamany - do szczęścia zabrakło mu jedynie 100 m. Sprowadzamy ich do dwójki. Następnego dnia, już z bazy, helikopter zabiera odmrożonego Aleca wprost do szpitala w Kathmandu. Brytyjczycy muszą jeszcze poczekać na pierwsze swoje wejście.

Z naszej grupy już tylko Rüdiger i ja mamy szansę na ponowny atak. Kanadyjczycy, chociaż w zeszłym roku byli pod K2, a Jeff również ze mną pod Everestem, silni są tylko przy rozmowach w bazie, ale już powyżej dwójki mają problemy zdrowotne.

Od kilku dni znowu jesteśmy przyczajeni. Rüdiger w obozie trzecim na 7200 m, a ja powyżej w maleńkim namiocie na 7500 m. W sumie spędziłem już tutaj sześć samotnych nocy. U góry wciąż wieje, ale moja determinacja również osiągnęła właściwy pułap i spokojnie czekam. Nie chcę stracić szansy popelniając jakiś błąd. Uderzenie musi być precyzyjne i ostateczne.

Nocą mam niespodziewanych gości. Dwójka Włochów Sylvio i Simone, którzy wystartowali z obozu poniżej, są przemarznięci i muszą się ogrzać. W maleńkim namiocie aż do rana podejmuję ich ze słowiańską gościnnością.

O 5.30 wygrzebujemy się z namiotu. Po drodze mijamy ich lidera, to Francuz Benoit Chamoux, który dzisiaj jest trochę wolniejszy. Warunki w ścianie są idealne. Raki oraz czekany wbijają się w zamrożony śnieg nie więcej jak 2 cm, a ja osiągnąłem chyba życiową formę. W tym roku co najmniej pięć miesięcy spędziłem powyżej 5000 m i teraz to procentuje.

W kuluarze pojawia się twardy lód, a wiatr uparcie próbuje nas zdmuchnąć. Jednak nikt się nie asekurowe, wszyscy to stuprocentowi profesjonalści.

O godzinie 13.30 docieram samotnie na wierzchołek Lhotse. Zdobywam się na zrobienie kilku zdjęć. Mam wielką ochotę wychylić się na przeciwną południową stronę, jednak rozsądek zwycięża. Nawisy są z miękkiego śniegu, a ja bardzo nie chciałbym przelecieć się południową ścianą. Trochę szkoda, że nie mam liny ani kogoś, kto by mnie przyasekurował. Włosi uznali, że wierzchołek jest dużo niżej i wcześniej zeszli w dół. Wracając spotykam w kuluarze Benoita. On również ma szansę, do szczytu tylko jakieś 150 m. Good luck, my friend!

Koncentruję się na bezpiecznym zejściu. Jutro będę w bazie, a trylogia Lhotse zostanie dla mnie zamknięta.



Dhaulagiri czyli weather report

Od wielu lat nasza obecność w górach wysokich jest raczej symboliczna. Ten rok nie by wyjątkiem. Przez Kathmandu przewinęła się garstka Polaków udowadniając, że jeszcze Polska nie zginęła. Po sukcesach Ryśka Pawłowskiego na Mt. Everestcie i Lhotse, Ewy Pankiewicz na Shisha Pangma oraz „prawie” wejściu Krzysztofa Wielickiego na K2 nie wypadło zrobić nic innego jak przedłużyć tę passę. Rzecz szła o Dhaulagiri, ale zaczęliśmy od początku.

Po ostatniej wyprawie na Cho Oyu i Shisha Pangma mój kontakt z Marco Bianchim (notabene „uczniem” Krzysztofa Wielickiego) bardzo się zacieśnił. On także złożył mi propozycję udziału w włoskiej wyprawie na Dhaulagiri. Dhaulagiri to nie Everest, ale w rankingu gór najwyższych stoi wysoko. Rok 1993 zdawał potwierdzać złą renomę góry. Tylko dwa wejścia w całym sezonie i to też na tzw. wydechu mówiły same za siebie. Ale klamka zapada. Jedziemy.

Było nas siedmiu. Marco Berti - kierownik, Marco Bianchi i Christian Kuntner - wszyscy z Włoch, ja i Józef Goździk z Polski oraz Joao Garcia z Portugalii i mój stary znajomy z poprzednich wypraw - Raymond D. Caughron z USA. Grupa mała, ale zgrana, jak by się wydawało na pierwszy rzut oka. Zbiórka (gdzie, a nie po ile) w Kathmandu. Pod koniec sierpnia byli już wszyscy. Lekki bałagan jak to u Włochów w zwyczaju nie popsuł nieco euforycznej atmosfery pierwszych dni. Nawet choroba Marco Bianchiego (chyba angina) nie osłabia ducha bojowego. Niewiele pamiętało co spotkało Gary Balla rok wcześniej. Ja cieszyłem się, bo nigdy nie byłem w tych okolicach Nepalu i chciałem przejść doliny, które widziałem tylko oczami wyobraźni. Marsz do bazy miał się odbyć wg początkowych planów doliną Mayangdi, ale wskutek ulewnych deszczów uległy uszkodzeniu (tzn. po prostu zerwały się) mosty i trasa ta była nieprzechodna. Poszliśmy więc doliną Gandaki. „Fucking paradise” jak mawiał nasz Jankes. Towarzyszyło nam ok. 60 tragarzy i sirdar znany z legendarnej znajomości drogi domarszu do bazy. Dzięki temu już po opuszczeniu Tukuche zbladzieliśmy we mgle i zgubiliśmy 25 tragarzy. Dnia następnego paru białych (nie żebym był rasistą) usiadło nad mapą i kompasem i ustaliło domniemaną trasę do drogi do bazy. I o dziwo doszliśmy, po drodze odnajdując zaginionych tragarzy. W ten oto prosty sposób 6 września postawiliśmy namioty bazowe na morenie lodowca Mayangdi. Trwał oczywiście monsun przynosząc deszcz i ciepło oblepiające okoliczne góry. „Eiger” zrzuca z siebie tony kamieni, a uskok lodowca wygląda jak po ciężkim ostrzale Sarajewa. Codzienny weather report był taki sam. Ciepło i po południu deszcz. 7 września zdecydowaliśmy wyjść całym składem na Przełęcz Północno-Wschodnią, tradycyjne miejsce obozu I (5700 m). I jak to w życiu bywa w trakcie uroczys-



tej kolacji inaugurującej początek wyprawy przyszedł goniec z hiobową dla Marco Bertięgo wiadomością. Musi wracać do domu z ważnych powodów rodzinnych. Dla każdego z nas było oczywiście, że stało się coś niedobrego. Atmosfera „siadła”. Odłożyliśmy wyjście. Przynajmniej tyle mogliśmy dla Marco zrobić. Dzień zwłoki wyraźnie wpłynął na morale zespołu. Następnego dnia po walce z ubłoconymi poręczówkami i rozmiękłym lodowcem postawiliśmy dwa namioty na Przełęczy. Tam już stały namioty Japończyków i Szwajcarów. Droga pń.-wsch. granią wydawała się być łatwa technicznie choć pogoda dalej nie nastrajała pozytywnie. Deszcz na tej wysokości to zjawisko, którego jeszcze nie widziałem. Ale, mówiłem do siebie, monsun musi się skończyć i wtedy jest krótki okres dobrej pogody i my to musimy wykorzystać. Nie ja jeden byłem tego zdania. Może dlatego trzech z nas 11 września wyniosło depozyt sprzętu do szczytyny na wysokości 6600 m. A weather report ciągle bez zmian. Ciepło i wilgotno. Trawers powrotny pod „Eigerem” to tzw. loteria fantowa, z tym że fanty ważą nieraz ponad sto kilo. Ale „the show must go on”. Już 15 września wszyscy byliśmy na Przełęczy z mocnym postanowieniem założenia obozu II. I rzeczywiście. W przewrach pomiędzy opadami śniegu i deszczu, mgłami i falami ciepła docieramy do miejsca, gdzie stoi już widomy znak obecności człowieka tzn. namiot North Face Szwajcarów. Jak na razie są o pół kroku przed nami. Teraz mieliśmy do rozwiązania dylemat: co robić? Iść do góry i próbować założyć nieomal z biegu obóz III czy schodzić do bazy. W końcu mój zespół został, a Włochoportugalczyk zeszedł. I zrobili dobrze, bo nas uwięziła

w obozie II burza śnieżna trwająca trzy dni. Zejście do bazy po tym opadzie śniegu zmieniło moją opinię na temat kruchości ludzkiego bytu. Tępy śniegu w stanie równowagi chwiejnej zasypały lodowce ze szczelinami, oczywiście i „Eiger” regularny jak zegarek w zrzucaaniu lawin pyłowych i nie tylko. To była tak duża dawka adrenaliny, że po dojściu szczęśliwym do bazy chciałem wzorem Ojca Świętego ucałować ziemię przed namiotem - kuchnią. Nasz strach nie poszedł jednak na marne. Mieliśmy wysoko sprzęt, jedzenie i gaz na atak szczytowy, a pogoda zdawała się poprawiać. Przede wszystkim ochłodziło się i przestał padać śnieg. Teraz tylko ustalić kto z kim, kiedy i dlaczego i możemy wyjść już z zamiarem wejścia na szczyt. W międzyczasie do bazy dotarli Amerykanie, druga grupa Japończyków, Ukraińcy (Bierszow) i Francuzi. Ci ostatni szczególnie interesowali naszą małą społeczność na morenie, gdyż (prawdopodobnie) między nimi miały być KOBIE- TY. Były, ale..... zresztą mniejsza o to. My po podziale na dwa zespoły trójkowe wyszliśmy z zamiarem powrotu przez szczyt. A pogoda była wtedy jak drut i wydawało się, że trzeba się spieszyć, bo to jest niemożliwe aby utrzymała się zbyt długo. Włochoportugalczyki wyszli dzień wcześniej niż Amerykanopolacy. W obozie II musieli odkopać spod metrowej warstwy śniegu depozyt sprzętowy, co kompletnie wyprowadziło ich z równowagi, a ja przez następne dwa seanse łączności radiowej musiałem trzymać radio metr od siebie, a i tak było za głośno. Za to w rewanżu chyba zostawili nam Portugalczyka (Joao Garcia źle się poczuł i oczekiwał nas w obozie II) do kompletu. Teraz było nas czterech do jednego namiotu. Very funny. Spektakl pogodowy trwał i nic nie zapowiadało zmiany pogody na gorsze. Mój altimetr „stał” jak drut, pogoda zresztą też. Gwoli dokładności trzeba dodać, że nie byliśmy sami, z nami byli Szwajcarzy i Sierpowie z obu wypraw japońskich. Ukraińcy się dopiero rozkręcili, a Francuzi..... wiadomo. 24 września Marco Bianchi i Christian Kuntner założyli obóz III (7200 m), niestety trochę za nisko. Na dodatek ich namiot był pozbawiony tropiku, a więc był, delikatnie mówiąc, przewiewny. Niemniej po krótkim tam pobycie o godz. 1.00 w nocy wspierani przez Szwajcara (on ma imię i nazwisko, ale zapomniałem i nie mogę zacytować) ruszyli do wierzchołka. My w tym samym czasie przesuwaliśmy się do obozu III. I w tym przypadku towarzyszyli nam dwaj Szwajcarzy, Robert i Stefan. Traf chciał, że w tym samym czasie Sierpowie rozpinali poręczówki dla Japończyków, więc można było mieć nadzieję, że w zejściu będziemy mogli z nich skorzystać. To nieładnie tak żerować na pracy innych, ale mogliśmy tylko pocieszać się tym, że naprawdę to i bez nich (poręczówek) daliśmy sobie radę. Teren nie był aż tak stromy, a śnieg dosyć twardy. Marco i Christian w podmuchach zimnego wiatru „urabiali” kolejne metry pół podszczytowych by ok. 13:00 zgłosić się z wierzchołka. Radość, radość i jeszcze raz radość. Teraz tylko szczęśliwie wrócić i kolej na nasz zespół. Ale przedtem nocleg w czterech w namiocie na małej platformce ze słownię, dwoma śpiworami. Dlaczego tak się stało, to temat na esej o koleżeń-

stwie, lojalności i dotrzymywaniu zobowiązań. Na razie odprawiliśmy napojonych Włochów w dół do obozu II, sami sposobiąc się do ni to noclegu, ni to biwaku. Ja już około 10 wieczorem miałem dość i dzwoniąc zębami (z zimna, a nie ze strachu) zarządziłem wymarsz. O pierwszej w nocy na stoku nad obozem III można było zobaczyć pięć małych, migotliwych promyków światła generowanych przez znajdujące się w latarkach „sławne” baterie Duracell. Byłem przerażliwie zmęczony i zaspany. Posuwałem się powoli do góry z wzrastającym przekonaniem o konieczności zawrócenia do obozu. Byłem tego tak bliski, że aż mnie to przeraziło, i szedłem dalej. Na szczęście jednak im wyżej szedłem, tym szybciej „śpić” odchodził i wracało dobre samopoczucie. To kolejny paradoks. Pola podszczytowe ciągnęły się jak w każdej książce górskiej czyli bez końca. Wszystko jednak ma swój kres, więc i to się skończyło. Pod kuluałem szczytowym zostawiliśmy plecaki i zbędny sprzęt np. batony PowerBar lub butelki z zamrożonym pić. Szczyt to kawałek grani, najwyższy i oznaczony na żółto przez Stefana. Zdjęcia, gifpelge-



Józef Goździk

danki. Była 12 w południe, 26 września. Na szczycie oprócz mnie i Józka Goździka stanął Joao Garcia i R.D. Caughron. Czyli cała wyprawa. Na polach podszczytowych został przygodnie spotkany Szwajcar Robert Bahler, który zrezygnował z wejścia na szczyt i powoli przesunął się w dół. Dlaczego potem spadł i zniknął w pin.-wsch. ścianie, pozostanie dla nas tajemnicą. Pytanie, dlaczego nikt nie zauważył jego dziwnego zachowania jest moim dylematem moralnym i skazą na sumieniu. Wysokość nas nie odczłowiecza, bo nie w tym rzecz, ale niestety bardzo ogranicza możliwość re-

akcji - w tym także spostrzegawczość. Rodzi się zatem wątpliwość, czy mając świadomość zmniejszonej sprawności powinniśmy chodzić po górach? Oczywiście poszukiwania niczego nie dały poza tym, że znaleziono jego czekan i kijek narciarski. Tak czy inaczej trzeba było wracać. Do obozu, potem do bazy. Objuczeni i zmęczeni dotarliśmy 27 i 28 września. Zwinienie bazy i powrót w krainę przysnycu, dań mięsnych i telewizji były już kwestią czasu. Pożegnaliśmy Kathmandu z silnym postanowieniem powrotu na wiosnę. Na Everest. Ale kto to wie, życie czasami płata figle. Włec może do zobaczenia kiedyś w Kathmandu.

Krótkie podsumowanie

Wyprawa przyjechała do Nepalu 27 sierpnia. 6 września założyła bazę na lodowcu Mayangdi (4700 m). Obozy I, II i III (5800, 6700, 7200 m) powstały odpowiednio 9, 16 i 24 września. Wierzchołek (8167 m) osiągnęli: 25 września - Christian Kuntner i Marco Bianchi, 26 września - Józef Goździk, Piotr Pustelnik, Joao Garcia i R.D. Caughron. Marco Berti - kierownik opuścił wyprawę 7 września z ważnych powodów rodzinnych. Członkowie wyprawy pożegnali bazę 29 września i wrócili do Kathmandu 6 października.

Krzysztof Wielicki

Samo życie... pod K2

Osoby: Rob Hall (NZ), Nike Groom (Australia), Veikka Gustafsson (Fin), Carlos Buhler (USA), Wojtek Kurtyka (PL) i Krzysztof Wielicki (PL).

Jest 4.30 po południu, pewnego lipcowego, dość pogodnego nawet dnia roku 1994. „Pachnie” szczytem, wysokość około 8570 metrów, nad głowami wierzchołek K2. Słońce schowało się już za grań szczytową. Zatrzymujemy się, sam nie wiem właśnie dlatego. Fakt - jest zimno, śnieg jest głęboki, a silny wiatr, który towarzyszy zachodowi słońca, wróży zimny wieczór i lodowatą noc...

Cisza - spojrzenie na grań, na zegarki... Przerwywam wreszcie tę scenę, ktoś musi to powiedzieć, a nikt nie chce być pierwszy. OK... Enough!

Zawracam i wiem dlaczego. Jestem świadom swojej decyzji, ryzyko jest zbyt duże, a szanse szczęśliwego powrotu małe - biwak w ogóle nie wchodzi w rachubę, bo jestem bez sprzętu... Inna sprawa to styl wejścia, nie mam czego żałować, cały czas idę za plecami Roba, który ostro pomaga sobie z 2 butli tlenowych. Wejść tylko żeby zaliczyć szczyt? To chyba nie mój styl. Co z naszą próbą z 1982 roku na północno-zachodniej grani, co z zimową przymiarką na przełomie 87/88, co z zachodnią ścianą porzuconą zaledwie przed 2 tygodniami? To byłaby zdrada!

Ale dlaczego wracają za mną Nike, Veikka i Carlos? Dlaczego Rob kontynuuje wspinaczkę i znika za granią? Nie umiem znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Po półgodzinie dołącza do nas Rob. Znow jesteśmy razem. Odwracając się do Roba mówię przez ramię: Right decision! (że zawrócić), a on podnosząc kciuk do góry odpowiada: Yes, right decision! (że wszedł na K2!). Samo życie...

Nadciągająca noc, trzeba się ratować, a trudności jeszcze przed nami. Wysokość 8300 m, żartów nie ma, trzeba zejść dobre 100 metrów strumą lodową ścianą. Carlos próbuje ubezpieczyć ten fragment, ale trwa to zbyt długo i ostatecznie każdy bierze sprawy we własne ręce. Wszystkie zależy od działadeł, raków i doświadczenia... Chwila dekoncentracji i idący tuż nade mną Mike wali mi się na ramiona. Na szczęście mam dobrze osadzone czekan, a Mike w przytomnym odruchu łapie równowagę. Możemy kontynuować naszą pięknie kończącą się przygodę. Nad głowami wisi nieprzy-

zwoicie ogromny serak, podobno urywa się rzadko, ale i tak trawers pod nim trwa całe wieki. Ze strachu przyspieszam, doganiam Veikka, który jest najniższy, trawersuję dalej nad „szyjką butelki” i po skałach schodzimy w teren, który mimo zapadających ciemności doprowadza nas do namiotu „na ramieniu”. Wysokość tylko 7700 cm, ciepły śpiwór, Wojtek z kubkiem herbaty - jestem „w domu”. Długo nie mogę zasnąć, może jestem zbyt zmęczony, może co innego...

W namiotach obok biwakują alpinści z Odessy, za chwilę wyjdą po naszych śladach. Jest ich czwórka. Jeszcze nie wiedzą, że jeden z nich zawróci, a trzech pozostanie na zawsze gdzieś pod serakiem. Pogoda dotąd dobra załamuje się najwyraźniej, czyżby miał powtórzyć się rok 1986? Podejmujemy szybką decyzję i w 12 godzin osiągamy bazę. Koledzy z Ukrainy wrócą dopiero po 9 dniach spędzonych w pułapce na „ramieniu”...

Kilka tygodni później. Jest 10 rano, dzień jest też pogodny, a listonosz przynosi kartkę pocztową od Veikka. Pytanie: czy 40 metrów to dużo?

Myślę, że i tak, i nie. Dla mnie tak, te 40 metrów to dystans pomiędzy być albo nie być. Ale czy tak jest zawsze? Ilu zdobywców było na samym wierzchołku, a ilu 5, 10, 15 minut niżej „zdobywało” swój szczyt? Czy bardziej chodzi o te parę metrów czy o szacunek do samego siebie? Czy to nie piękne, że Mike i Veikka po 2 tygodniach wrócili do miejsca, gdzie podjęli ważną, męską decyzję! Myślę, że zrozumieli też lepiej... moją. A zachodnia ściana K2 ciągle czeka...

Amical Alpin K2 8611m Expedition '94

29.7 BASE CAMP FINLAND
HAI THERE! TEL: 358 6051189

ALL THE BEST!
Herzliche Grüße aus dem K2-Basencamp!

VERKA
KRZYSZTOF WIELICKI
43100 TICHY
PIEDKIEWICZA, 31
POLAND

PETZL
Firm. Model. System
1987-1994

AMICAL
TO 003 77815 Babel 19 - Babeler Seite 83
GERMANY TEL: +49 33 77815

Kartka od Veikka Gustafssona

KR8 zdobyty! Polska wyprawa w Himalaje Zachodnie

21 sierpnia 1994 roku wyprawa zorganizowana przez Mazowiecki Klub Górski „Matragona” z Warszawy zdobyła dziewięć sześciotysięcznik w masywie Lahul w Himalajach Zachodnich. Szczyt KR8 położony w grani głównej masywu ma 6156 m wysokości i oddzielony jest głęboko wcięta (ok. 5900 m) przełęczą od szczytu KR7, atakowanego bez powodzenia przez naszą wyprawę w 1987 r.

Wyprawa Klubu „Matragona” z 1987 roku potwierdziła wysokie walory alpinistyczne KR8. Szczyty w tym rejonie są bardzo niedostępne i wybór właściwej drogi decyduje o sukcesie. W tegorocznej wyprawie korzystaliśmy głównie z własnego rozpoznania. Dużą niewiadomą była górna część lodowego kuluaru wyprowadzającego na grań KR8. Kuluar w swej górnej części okazał się trudny, a nawet ryzykowny, przede wszystkim z uwagi na lawiny kamienne, które schodziły nieregularnie w zależności od nasłonecznienia, a również z uwagi na szczeliny lodowe. Wyjątkowo silny monsun w tym roku komplikował sytuację powodując niespodziewane załamania pogody, co w tym rejonie Himalajów o tej porze roku jest raczej rzadkością.

W wyprawie wzięło udział 10 alpinistów z Polski (sześciu z Warszawy i pięciu z Krakowa) oraz hinduski oficer łącznościowy (kierownik szkoły sportowej w Bangalore). W skład wyprawy weszli: Piotr Wroczyński (kierownik), Jan Duszczyk (kierownik sportowy), Ravi Kumar (oficer łącznikowy), Michał Bajorek, Krzysztof Gardyna, Paweł Garwoliński, Michał Jaworski, Wojciech Niedziela, Piotr Tomaszewski, Jacek Przybylski (lekarz), Krzysztof Wroczyński.

Wyprawa wyjechała z Polski 1 sierpnia samolotem przez Frankfurt do Delhi. Niezbędne formalności w Delhi udało się załatwić szybko (odbior cargo, formalności w Indian Mountaineering Foundation itd.) i już 4 sierpnia udaliśmy się do Manali (ok. 400 km na półn. od Delhi). Po uzupełnieniu zapasów żywności 6 sierpnia wyruszyliśmy przez przeł. Rothang, Darchę, Zing Bar na przeł. Bara Lacha. Przełęcz Bara Lacha od kilku lat jest w lecie przejezdna i wiedzie tędy szlak z Manali przez Keylong do Leh. Dotarliśmy więc na przełęcz komunikacji samochodowej 8 sierpnia i tu zorganizowaliśmy karawanę (8 mułów). W dwa dni później, 10 sierpnia przekroczyliśmy rzekę Czandę (ok. 4 km od jej źródła) i założyliśmy bazę u wylotu doliny prowadzącej w kierunku płd.-zach. pod KR8. Baza znajdowała się na wysokości 4600 m w miejscu bardzo dogodnym, choć odległym od zdobywanego szczytu. W 1987 roku również w tym miejscu stanęła nasza baza, a obecnie oprócz nas przebywała tam wyprawa japońska. 12 sierpnia założyliśmy obóz I na wysokości 5300 m już na lodowcu w pobliżu kuluaru, którym wiodła planowana droga na grań i wierzchołek



Od lewej w pierwszym szeregu: J. Przybylski (lekarz), P. Wroczyński (kierownik wyprawy), M. Jaworski, K. Wroczyński, K. Gardyna. W drugim szeregu od lewej: J. Duszczyk, P. Garwoliński, M. Bajorek, W. Niedziela, P. Tomaszewski, R. Kumar (oficer łącznikowy)

KR8. Obóz był dość odległy od bazy i jego zaopatrzenie w sprzęt i żywność zajęło kilka dni. Czas ten wykorzystywaliśmy też na aklimatyzację i rozpoznanie dalszej drogi. Z obozu I rozpoczęliśmy właściwą akcję górską.

Górną część kuluaru (bardzo stromą i narażoną na lawiny kamienne) trzeba było zaporęczyć (ok. 150 m) używając w tym celu śrub lodowych. Pokonanie kuluaru i założenie poręcz (M. Bajorek i P. Garwoliński) wymagało dość trudnej wspinaczki lodowej i należało do kluczowych trudności drogi. Ostatecznie 20 sierpnia zespół w składzie: M. Bajorek, K. Gardyna, P. Garwoliński, M. Jaworski i W. Niedziela pokonał kuluar, osiągając przełęczkę odległą zaledwie kilkadziesiąt metrów od szczytu. Zła pogoda nie pozwoliła jednak na pokonanie bardzo kruchej i ryzykownej kopuły szczytowej. Przy złej pogodzie było to niemożliwe tym bardziej, że droga na szczyt okazała się skomplikowana orientacyjnie. Następnego dnia, przy bardzo dobrej pogodzie, kolejny zespół podjął próbę wejścia na szczyt (J. Duszczyk, R. Kumar, K. Wroczyński, P. Wroczyński). Z obawy przed spadającymi po południu kamieniami zespół wyszedł z obozu bardzo wcześnie rano (ok. godz. 1) i dolną część kuluaru pokonał po ciemku. Próba uwieńczenia została sukcesem. Około godziny 9 zespół dotarł po poręczówkach do przełęczki pod szczytem, a o 12.10 Jan Duszczyk i Ravi Kumar osiągnęli szczyt. Korzystając z doskonałej pogody można było wykonać sporo pięknych zdjęć całego masywu Lahul. Trzeba powiedzieć, iż Ravi Kumar - hinduski oficer łącznikowy, okazał się niezwykle pomocny dla wyprawy nie tylko na etapie organizacji, ale również był jej aktywnym uczestnikiem w górach. Począwszy od 22 sierpnia pogoda zaczęła się szybko psuć. Chociaż tego dnia K. Gardyna i M. Jaworski weszli jeszcze na szczyt (ok. 5500 m) w otoczeniu bazy, to głębokie załama-

nie pogody przeszkodziło jednak w dalszych planach. 24 VIII wyprawa opuściła bazę powracając do Manali przez Bara Lachę i przeł. Rothang.

Wyprawa Mazowieckiego Klubu Górskiego „Matragona” zakończyła się sukcesem, choć można było osiągnąć więcej gdyby warunki pogodowe nie były wyjątkowo złe. Trzeba też podkreślić doskonałą, koleżeńską atmosferę panującą w zespole i dobrą współpracę na wszystkich etapach trwania wyprawy, a również dobre przygotowanie jej uczestników.

Polską działalność w Lahul zapoczątkowała tragicznie zakończona wyprawa lubelska Zbigniewa Stepka już w roku 1973. W międzynarodowym gronie eksploratorów tych gór, „Matragona” ma dorobek bardzo poważny. Począwszy od roku 1977 jej wyprawy zdobyły tu 13 dziewiczych szczytów w tym 2 sześciotysięczne. Latem 1994 roku, równoległe z naszą wyprawą działali też Japończycy, którzy skutecznie zaatakowali szczyt KR7 (6207 m).



KR8. Linia przerywana - droga zdobycia szczytu. Δ - obóz pod szczytem

Fot. Ryszard Wrona

Diariusz wyprawy

- 1 sierpnia** - Spotkanie z oficerem w Indian Mountaineering Foundation. Początek załatwiania formalności.
- 2 sierpnia** - Odebranie cargo z lotniska przy wydanej pomocy oficera.
- 3 sierpnia** - Spotkanie w Indian Mountaineering Foundation. Ostateczne formalności i uzyskanie zgody na wyprawę. Wynajęcie autobusu do Manali.
- 4 sierpnia** - Wyjazd z Delhi do Manali (godz. 6.30)
- 4-6 sierpnia** - Pobyt w Manali. Ostatnie zakupy, organizacja karawany.
- 6 sierpnia** - Wyjazd z Manali (godz. 6.00) do Darchy przez przełęcz Rothang.
- 7 sierpnia** - Wyjście z Darchy do Zing Zing Bar (w celu kondycyjno-aklimatyzacyjnym). Oficer przewoził bagaże wyprawy samochodem na przełęcz Bara Lacha.
- 8 sierpnia** - Wyjście z Zing Zing Bar na przełęcz Bara Lacha i nocleg na przełęczu. Wyraźnie odczuwamy skutki wysokości (ok. 4800 m). Wieczorem przychodzą umówieni mulnicy z kołmi.

- 9 sierpnia** - Wyjście z przełęczy Bara Lacha do obozu nad rzeką Czandry.
- 10 sierpnia** - Przejście Czandry (rano) i dotarcie do bazy. Pogoda załamuje się (deszcz, a później śnieg).
- 11 sierpnia** - Dzień kondycyjny. Ostateczne założenie bazy. Pogoda wyraźnie poprawia się. Wizyta w obozie japońskim.
- 12 sierpnia** - Wyjście w góry z zamiarem założenia obozu I (lub bazy wysuniętej) na morenie w górnej części lodowca. Wychodzą: M. Bajorek, K. Gardyna, P. Garwoliński, R. Kumar, W. Niedziela i K. Wroczyński. Postawienie dwóch namiotów, złożenie sprzętu i powrót do bazy.
- 13 sierpnia** - Dzień kondycyjny. Niektórzy uczestnicy wyprawy narzekają na przeziębienie i dolegliwości żołądkowe.
- 14 sierpnia** - Do obozu I wychodzą: M. Bajorek, J. Duszczyk, K. Gardyna, P. Garwoliński, M. Jaworski, R. Kumar, W. Niedziela, P. Tomaszewski i K. Wroczyński. Zaopatrują bazę w żywność i sprzęt. J. Duszczyk i P. Tomaszewski wracają do bazy (reszta nocuje w obozie I). M. Jaworski i W. Niedziela sądzą wejście do lodowego kuluaru, którego wiedzie planowana droga.

- 15 sierpnia** - Wszyscy przebywający w obozie i uczestnicy wyprawy (7 osób) wyruszają w kuluar wyprowadzający na przełęcz pod szczytem KR8 w celu rozpoznania i transportu lin poręczowych. Udaje się zaporcować dwa odcinki w dolnej części spiętrzenia kuluaru. Wieczorem wszyscy przez obóz i powracają do bazy. J. Przybylski i P. Wroczyński wychodzą w okolicę obozu japońskiego celem złożenia depozytu (głównie żywność). Wieczorem powracają do bazy.
- 16 sierpnia** - J. Duszczyk i P. Tomaszewski zaopatrują w sprzęt obóz i i zostają tam na noc. W nocy załamanie pogody.
- 17 sierpnia** - Powrót przy bardzo złej pogodzie J. Duszczyka i P. Tomaszewskiego do bazy.
- 18 sierpnia** - Dzień kondycyjny, pogoda poprawia się. Wizyta w szałasach miejscowych pasterzy, pieczenie barana.
- 19 sierpnia** - Wyjście do obozu I (pogoda bardzo dobra). Wychodzą kolejno zespoły: J. Duszczyk, P. Tomaszewski, K. i P. Wroczyński; w godzinę później R. Kumar i J. Przybylski (do obozu japońskiego gdzie spędzają noc); pozostali członkowie wyprawy (obozu pilnuje kucharz). Japończycy po zdobyciu szczytu KR7 wracają do bazy.
- 20 sierpnia** - Zespół w składzie: M. Bajorek, K. Gardyna, P. Garwoliński, M. Jaworski i W. Niedziela próbując pokonać górną część kuluaru wyprowadzającego na przełęcz pod szczy-

tem i ewentualnie zaatakować szczyt. Ok. godz. 14 osiągają przełęcz zakładając poręczówki, a następnie próbują zaatakować pobliski wierzchołek. Ze względu na gwałtownie pogarszającą się pogodę rezygnują jednak z ataku na ogromnie kruchą i skomplikowaną orientacyjnie grań. Powracają wieczorem do obozu I.

- 21 sierpnia** - O godz. 3.00 wychodzi zespół: J. Duszczyk, R. Kumar, K. Wroczyński i P. Wroczyński. O godz. 10 osiągają przełęcz pod szczytem, a o godz. 12.09 J. Duszczyk i R. Kumar osiągają szczyt KR8. O godz. 15 zespół rozpoczyna zjazd kularem i wieczorem powraca do obozu. O godz. 12 pozostali uczestnicy wyprawy (z wyjątkiem lekarza) likwidują obóz I i schodzą do bazy. Pozostawiają jedynie niezbędne namioty i ekwipunek dla zespołu atakującego szczyt.
- 22 sierpnia** - J. Duszczyk, R. Kumar, J. Przybylski, K. Wroczyński i P. Wroczyński likwidują resztę obozu I i schodzą do bazy. Pogoda psuje się. W tym czasie K. Gardyna i M. Jaworski, wychodząc z bazy, osiągają pięciotysięczny szczyt w otoczeniu doliny prowadzącej pod KR8.
- 23 sierpnia** - Wobec całkowitego załamania pogody przygotowujemy się do likwidacji bazy.
- 24 sierpnia** - Likwidacja bazy i powrót (karawana) na przełęcz Bara Lacha i dalej samochodem do Key Longu.
- 25 sierpnia** - Powrót z Key Longu do Manali.

Sprawozdanie z wyprawy „Garhwal '94”

W dniach 2.09.-15.10. 1994 r. odbyła się wyprawa Polskiego Związku Alpinizmu w Himalaje Garhwalu, na którą Zarząd PZA zatwierdził następujące osoby: Andrzej Dutkiewicz, Jacek Fluder (kierownik), Janusz Gołąb i Zbigniew Krośkiewicz.

Jako cel został wybrany szczyt Kedar Dome 6.831 m w rejonie lodowca Gangotri, a konkretnie jego wschodnia ściana pozostająca jednym z największych himalajskich problemów. Liczy ona od podstawy do szczytu około 1900 m, z czego 1200 m to monolityczne urwisko. Ściana była atakowana wielokrotnie, także przez Polaków, lecz tylko wyprawie węgierskiej w 1989 r. następującej tuż po dwóch wyprawach brytyjskich, udało się przejść lewym ograniczeniem. Droga Węgrów ominęła tym samym najwyższe spiętrzenia ściany. Jak później donieśli jedyni zdobywcy, monolityczną część ściany to wspaniała granitowa zerva o litej skale, w górnych partiach przechodząca w lekko leżące ogromne płyty.

Celem naszej wyprawy było wytyczenie nowej drogi mniej więcej środkiem ściany przez jej największe spiętrzenia. Zamierzaliśmy wspiąć się w stylu alpejskim, śpiąc w ścianie w specjalnie zakupionych platformach biwakowych, tzw. portaledges.

Wielomiesięczne poszukiwania sponsorów nieśtety nie przyniosły żadnych rezultatów i w ostateczności jedynym pozostał Polski Związek Alpinizmu. Warto jednak wymienić tych, którzy wnieśli choć niewielki udział: firma TROLL z Anglii wypożyczyła uczestników w uprzążkę wspinaczkową, fir-

ma ALPINUS z Chorzowa dostarczyła plecak i kurtkę dla oficera łącznikowego, sklep ALPIN-SPORT z Zakopanego darował dwa namioty Salewy, a firma HIMAL-SPORT z Tych umożliwiła zakup sprzętu po cenach preferencyjnych.

Z Polski wylatujemy 2.09. i po krótkim pobycie w Delhi, gdzie zlatwiamy ostatnie formalności w Indian Mountaineering Foundation i zabieramy oficera łącznikowego, docieramy szybko do Uttarkashi. Tam tempo trochę spada, gdyż cały region objęty jest strajkiem generalnym. Na dodatek trwa jeszcze monsun i droga na odcinku do Gangotri okazuje się w wielu miejscach nieprzejezdna. Tragarzy musimy więc wynajmować już na kilku odcinkach zniszczonej drogi. Do Gangotri dojeżdżamy dopiero 11.09., za to w świetnej pogodzie, która zresztą towarzyszyć nam będzie do końca wyprawy.

Z Gangotri idąc z tragarzami dochodzimy w ciągu kilku dni do bazy założonej na tzw. Sunderbanie. Jest to polana na wysokości około 4.500 m leżąca pomiędzy moreną boczną lodowca Gangotri a północnym stokiem szczytu Kedar Dome. Do podstawy wschodniej ściany mamy stamtąd około 4 godzin marszu. Następnymi kilkanaście dni zajmują nam transport wyposażenia, sprzętu i żywności pod ścianę oraz poręczowanie pierwszych dosyć nieprzejezdnym 350 metrów. Przez lornetkę dostrzegamy system rys biegnący nieco na prawo od środka ściany. Jak nam się wydaje jest to jedyna możliwość pokonania monolitu. Nasze liny poręczowe doprowadzają na wysokość ok. 5.300 m, dokładnie pod owe rysy przecinające dolną 400-metrową część pionowego, a miejscami przewieszonego monolitu.

Wszystko gotowe do ostatecznego ataku; ściana czeka. Niespodziewanie jednak zawodzi materiał ludzki. Kierownik trapiiony nawrotami wysokiej gorączki wraca do bazy, reszta zespołu decyduje się atakować ścianę. Niestety, wieczorem wszyscy wracają do bazy po zlikwidowaniu lin poręczowych i zniesieniu całego sprzętu ze ściany, uniemożliwiło to podjęcie kolejnych prób. Decyzja o tyle dziwna, że podjęta bez konsultacji z bazą, pomimo łączności radiowej.

Po powrocie najbardziej zdeterminowany i ambitny Janusz Gołąb stwierdził, że nikt nie miał

ochoty się z nim wspinać, natomiast motywacje pozostałych dwóch uczestników pozostają nieznane.

Po tym wydarzeniu działalność na wschodniej ścianie można było uznać za zakończoną. Odkryto się jeszcze kilka samotnych wypadów z bazy; najbardziej spektakularny to wyczyn Janusza Gołębia, który o 12.00 w południe wyszedłszy na „wycieczkę” z bazy popatrzył na góry, zdobył szczyt Kedar Dome drogą normalną ok. 2.00 w nocy.

Do kraju wróciliśmy w ponurych nastrojach, ale za to cali.

Jacek Fluder

Jerzy Natkański

Borondo Sar

W lipcu 1993 roku wybrałem się z moim stałym partnerem górskim, Darkiem Załuskim, w Karakorum. Był to już nasz drugi wyjazd w ten sam rejon - Hispar Muztagh.

Dwa lata temu mile zaskoczyło nas to, że w tak wspaniałych górach można poruszać się bez żadnych ograniczeń, nie spotykając żywego ducha. Do doliny Hunzy dotarliśmy wtedy od strony Chin, tzw. Karakorum Highway i przeprowadziliśmy trzytygodniowy wypad do doliny Kunyang. Próba wejścia na dziewiczy sześciotysięcznik zakończyła się 50 m przed wierzchołkiem.

W tym roku zdecydowaliśmy się na szybki dojazd samolotem do Islamabadu przez Frankfurt i Karachi, a stamtąd autobusem do Gilgit i Hunzy (Karimabadu). Następnie wynajętym jeepem dojechaliśmy do wylotu dol. Garesa (ok. 25 km). Doliną tą prowadził szlak zdobywców Momhil Sar (7340) i Trivor (7700). Okazało się, że odnalezienie ścieżki trawersującej urwiste, opadające do potoku Hispar zbocze było bardzo trudne. Na szczęście pojawili się miejscowi pasterze, z których jeden kilka lat wcześniej uczestniczył w karawanie wyprawy na Momhil Sar. Za pośrednictwem wioskowego nauczyciela znającego angielski dowiedzieliśmy się, że dolina Garesa odwiedzana jest sporadycznie przez pasterzy i myśliwych, a już od dłuższego



Jerzy Natkański i Darian Załuski

czasu nie było tu wyprawy. Efektem spotkania było również wynajęcie dwóch tragarzy co uchroniło nas przed „zarżnięciem się” od razu na podejściu do lodowca. Trzeciego dnia podejścia musieliśmy rozstać się z bardzo wolnymi tragarzami i po zostawieniu niewielkiego depozytu z żywnością ruszyliśmy dalej sami. Dzień później osiągnęliśmy Momhil Base Camp, gdzie przeczekaliśmy pięciodniowy okres niepogody. Duże ilości śniegu skłoniły nas do zejścia niżej, na gościnną morenę u wylotu bocznej doliny Lupghur South. Dolinę tę zamykały piękne szczyty, w tym charakterystyczny mur Lupghur, oraz (dziewiczy) wybitny, rozłożysty szczyt leżący w zachodniej grani, nazywany przez miejscowych Borondo Sar. Szczyt ten wybraliśmy jako cel ataku. Po dwóch kolejnych dniach dotarliśmy do podnóża skalistej grzędy ograniczającej południowo-wschodnią ścianę Borondo Sar, gdzie założyliśmy obóz (ok. 5000 m). 30 lipca o godz. 1 w nocy rozpoczęliśmy podejście, a o godz. 16 osiągnęliśmy wierzchołek. Droga nasza prowadziła najpierw rozległą i nietrudną, śnieżno-lodową ścianą do miejsca, gdzie spiętrzała się pod olbrzymimi barierami seraków, a następnie stromą (do 60°) lodowo-skalną depresją na podszczytowe seraki. Stąd już łatwo na odległy jeszcze o 2 godz. mozolnego torowania szczyt (ok. 6500 m). Zejście odbyło się już w nocy. Nasza droga pokonywała ok. 1200-metrową płd.-wsch. ścianę i zajęła w sumie 24 godz.

Kolejne załamanie pogody nie pozwoliło nam na bliższe poznanie innych szczytów pięknej doliny Lupghur.



Borondo Sar

WALIJSKA OPOWIEŚĆ

czyli MOJE OBSERWACJE Z NARODOWEGO CENTRUM GÓRSKIEGO

W samym sercu zielonej Snowdonii, w starym zajeździe „Plas y Brenin” powstało dzięki Fundacji Króla Jerzego IV Centrum Górskie. Plas y Brenin w języku walijskim znaczy „Królewski Dom”. Od czasu jego założenia w roku 1955 ośrodek ten, dzisiaj znany jako National Mountain Centre, wypracował system szkolenia uważany za jeden z najlepszych na świecie. Pierwszy z założycieli Centrum, Justin Evans, związany z tym miejscem od 1944 roku i John Disley, pierwszy szef instruktorów, nie mogli wybrać lepszego miejsca pod przyszłe narodowe Centrum Górskie, niż to właśnie w starym hrabstwie Gwynedd: w Walii zwane Eryri - Kraina Orłów (w Anglii - Snowdonia).

Był to jeden z tych nielicznych, słonecznych dni sierpniowych ubiegłego roku, kiedy po raz pierwszy pojawiłem się tutaj na dłużej. Natura, biorąc jakby odwet za dłuższe, panujące w tej części wyspy okresy niepogody, wybuchła podwójnie swoim bogactwem.

„Hey, man! Look at the sky” - przerwał moje estetyczne rozmyślenia Charlie, kompan podróży z Peak District. „Climbing tomorrow. First let me show you the crag”.

„A więc tak wygląda ta ichnia Kazalnica” - pomyślałem. Zwolniliśmy naszego starego dżipa do granic możliwości, obserwowaliśmy ścianę. „Dinas Cromlech” czy jak kto woli „Fortress of the Cromlech” - rozmiarami przypomina nieco naszą Zamkniętą Turnię - jak się okazuje i historię ma zbliżoną, choć nie tak tragiczną.

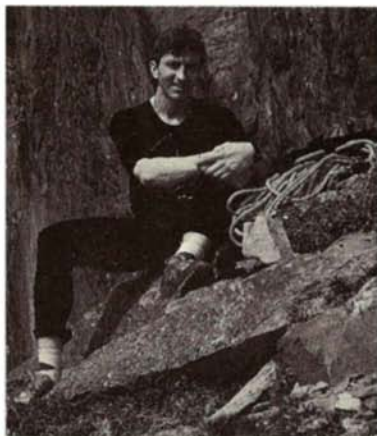
Dwa nazwiska z pewnością nierozdzielnie wiążą się z tą ścianą: Joe Brown i Don Whillans. Dzisiaj „Dinas Cromlech” to cel i ambicja wielu wspinaczy. Wśród morza urozmaiceń trudno o faworyta: piaskowiec, granit, wapień, kreda, łupek tworzą fantastyczne formacje skalne zarówno w głębi wyspy, jak i nad samym morzem.

Podnieceni, rozprawiający o czekającym nas dniu następnym, wgapieni w to w ścianę, to w przewodnik rozłożony na kolanach najmniej uwagi zwracamy na to, co się dzieje na drodze. Dopiero po chwili dociera do nas nieśmiały dźwięk klaksonu. Gdy się odwracamy, facet w Porsche w przepaszającym goście rozkłada ręce, jakby chciał powiedzieć: „Może by tak szybciej, panowie”. To co widzę zdumiewa mnie i śmieszy zarazem - przynajmniej kilometrowy sznur samochodów jadących posłusznie jeden za drugim, z godnością na jaką mogą sobie pozwolić tylko Anglicy.

„Damn it! Let's move Charls” - niemal wykrzyknąłem. „That's O.K. Take it easy” - odparł, nie rozumiejąc moich objawów paniki.

„No, chłopie” - pomyślałem. „Spróbowałbyś tak na luzie u nas...”

Zjeżdżając z Llanberis Pass z daleka już dostrzegam zabudowania walijskiej „Betlejemki”...



Poza okresem trzytygodniowej przerwy na przełomie roku, walijski ośrodek prowadzi działalność przez cały czas. Wśród różnorodności kursów dominują trzy profile: wspinaczka (skalna i lodowo-śnieżna), narciarstwo oraz kajakerstwo górskie i tzw. canoeing. Canoeing to forma żeglugi po akwenach otwartych, jak morza, zatoki, wielkie rzeki, oparta na technice stosowanej przez Indian amerykańskich.

Centrum posiada swoje ośrodki w Szkocji, w Alpach Szwajcarskich i Francuskich - zatem o kontynuację dwóch pierwszych profili na wyższym poziomie (i to dosłownie) nie trudno.

Snowdonia w północnej Walii to kraina gór i jezior, niemal czarnych, granitowych skał i białych, wapiennych klifów. Rzek spadających niczym kaskady w najmniej oczekiwanych miejscach. Dzikich, górskich przełęczy, zamków, fortów, okazałych domów, starych farm i kopalń, skrytych dolin i głębokich lasów.

Północna Walia to rejon niezwyklej, wspaniałej. To stary kraj. Stary geologicznie - skały, wypiętrzone w pierwszym okresie paleozoiku, kambry, a więc 520 do 440 mln lat temu, to jedne z najstarszych na świecie. Stary ekonomicznie - oparty na hodowli owiec. Stary kulturowo - z tradycjami poezji i muzyki sięgającymi epoki brązu. Stary także językowo - język walijski to najstarszy język Europy...

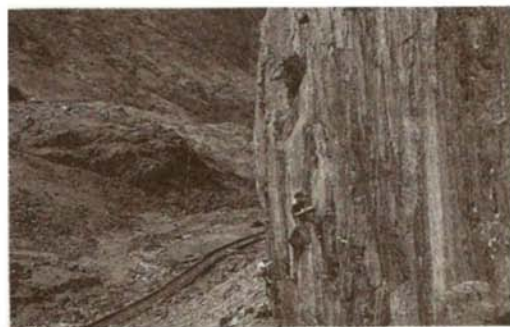
Snowdonia National Park zajmuje powierzchnię 840 mil kwadratowych i jest drugim, co do wielkości narodowym parkiem w Anglii i Walii. Około 12 mln ludzi każdego roku przyjeżdża się tu po wspinać, pogramolić (scrambling), powłóczyć po tych górach czy odwiedzić plażę o niezwyklej scenerii.

National Trust (największy prywatny właściciel w Narodowym Parku Snowdonii), Snowdonia National Park Authority, Welsh Historic Monuments,

Countryside Council for Wales czy National Trust Snowdonia Appeal to tylko niektóre z dziesięciu bodajże organizacji zaangażowanych w sprawy tego rejonu. Zastanawiające, że wszystkie one na corocznym spotkaniu znajdują rozsądne rozwiązania dla większości spraw spornych, a podjęte decyzje najmniej uderzają w turystów czy wspinaczy.

Największa góra w Walii, Snowdon (1085 m), nazywana „Walijskim Everestem” dzięki swojej piramidalnej formie zdecydowanie góruje nad Llanberis Area. Wysokość powyżej 3000 ft. (915 m) posiada jeszcze 13 innych szczytów - 6 z nich znajduje się w głównym łańcuchu Carneddau, 7 w łańcuchu Yr Elen, około pół mili na północny zachód od Carnedd Llywelyn.

Niestety, Snowdonia jest jednym z najbardziej mokrych rejonów wyspy. Zawdzięcza to wilgotnym masom powietrza znad Atlantyku, które w zetknięciu z wyspą powodują podobne zjawisko atmosferyczne, co u nas w Tatrach. Hasło „Don't let the weather catch you out” (nigdy nie wybieraj się w góry bez parasola) jest dobrze znane bywalcom tych stron.



W ścianie Dinas Cromlech

Fot. Keith Biddle

W tym samym czasie gdy w Snowdonii pada deszcz, zaledwie kilkanaście mil na północ czy na zachód może panować piękna, słoneczna pogoda wymarzona do wspinaczki na nadmorskich klifach...

National Mountain Centre położone nad jeziorem Llynau Mymbyr, u wylotu doliny Ogwen, posiada dobre warunki komunikacyjne. Bliskość gór (7 Fordów zapewnia dotarcie do rejonów bardziej oddalonych) i dogodne położenie takich górskich miejscowości, jak Capel Curig, Betws-y-Coed, Bethesda czy Tremadoc powodują zdrowe, moim zdaniem, połączenie górskiej samotności z szaleństwem cywilizacji.

A samo Centrum? Czterdziestoosobowa załoga gwarantuje fachową opiekę wszystkim przebywającym tutaj przez niemal cały rok. Poza środowiskiem naturalnym do dyspozycji są dwa sztuczne centra wspinaczkowe, sztuczny stok narciarski i basen dla treningu górskich wioślarzy. Dalej - sale wykładowe do nauki nawigacji górskiej, topografii, meteorologii i udzielania pierwszej pomocy medycznej.

Poza świetnie wyposażoną biblioteką ośrodek posiada magazyn sprzętu, gdzie praktycznie można dostać wszystko: od uprząży, której zapomnieliśmy wziąć na wspinaczkę, po parasol właśnie. Plas y Brenin posiada również własny zespół ratownictwa górskiego. Jest też hotel, sala jadalna i oczywiście pub (prawdziwy!).

Centrum to także miejsce licznych spotkań i sympozjów międzynarodowych.

Każdy z kursów posiada swój specyficzny charakter. Traktowane są bardziej jako środek wiodący do celu, aniżeli cel sam w sobie. Niektóre z nich posiadają trzy stopnie zaawansowania. Przyjeżdża tu niemal każdy kto chce. Dla dzieci poniżej 16 lat prowadzi się odrębne kursy.

Niezwykle popularne są kursy orientacji w terenie. Zimą największym powodzeniem cieszy się tzw. Ski Mountaineering. A poza tym odbywają się kursy przygotowujące do wspinaczki w wielkich ścianach, takich jak w Alpach i w Yosemite czy kursy wspinaczki lodowej w górach Szkocji i Alpach.

Prowadzone są również samodzielne kursy autoratownictwa, dla początkujących i doświadczonych wspinaczy... Trudno tu naprawdę wymienić całą gamę wszystkich form działalności w Plas y Brenin. Dość powiedzieć, że nieźle można się tu przygotować do żegluga na wodach u wybrzeży Grenlandii, jak i do wspinania na tamtejsze skały.

Dzień zaczyna się odprawą instruktorską około 8.30. Krótkie, rzeczowe omówienie zadań, obowiązkowa prognoza pogody do wiadomości wszystkich instruktorów która jest dostarczona ze stacji meteo w Capel Curig (dzięki czemu unika się, jakże dobrze mi znanych, rodzimych weatherpuzzles: dupnie - nie dupnie) i... w Góry.

Dla mnie jako instruktora ciekawą rzeczą było poznać jak pracuje walijska załoga. A więc górski zespół opiera się na dziesięcioosobowej kadrze instruktorskiej. Nad całością „stafu” instruktorskiego czuwa szef instruktorów, którego łączny czas urzędowania na tym stanowisku nie może przekroczyć 10 lat. Dziesięciu instruktorów pozostaje na kontrakcie pięcioletnim, z możliwością przedłużenia umowy tylko o jedną kadencję. Większość z nich to przewodnicy górscy lub ubiegający się o taki tytuł. Czterech instruktorów-stażystów na kontrakcie 7-miesięcznym. I wreszcie tzw. instruktorzy dochodzący „temp instructors” zatrudniani na okresy dziesięciomiesięczne, maksymalnie przez trzy lata.

Uzyskać brytyjskie uprawnienia instruktorskie bądź przewodnickie nie jest wcale łatwą sprawą. Niezależnie od reprezentowanego poziomu i doświadczenia, stopień w pełni kwalifikowanego instruktora tzw. M.I.C (Mountain Instructor Certificate) uzyskuje się po okresie dwóch, dwóch i pół lat intensywnego szkolenia w Walii, w górach Szkocji i Alpach.

Do uzyskania stopnia kwalifikowanego przewodnika górskiego potrzeba co najmniej kolejnych dwóch lat. W tym przypadku szkolenie odbywa się w trzech etapach, w trzech ośrodkach; w Walii, Szkocji i Szwajcarii.

I jeszcze jeden drobiazg: za wszystkie kursy prowadzące do tego typu kwalifikacji zainteresowani płacą z własnej kieszeni!

Po zdobyciu przewodnickiej „blachy” zostajesz automatycznie członkiem British Association of Mountain Guides. Brytyjskie Stowarzyszenie Przewodników Górskich, założone w 1975 roku, wraz z podobnymi organizacjami z Francji, Włoch, Szwajcarii, Austrii, Niemiec, Kanady, Nowej Zelandii i Norwegii, tworzy międzynarodową organizację przewodnicką Union Internationale des Associations de Guides de Montagne (U.I.A.G.M.).

Wszyscy instruktorzy zawodowcy to techniczni konsultanci firmy KARRIMOR - która jest jednym ze sponsorów Centrum. Prowadzą zajęcia ze swoim poczuciem humoru, ale i niezwykle fachowo. Jednym z warunków stawianym tutaj instruktorom jest prowadzenie dróg skalnych o trudnościach E3 6a, dróg lodowych V, V.5.

Nawet najdoskonalsze metody szkolenia nie mogą jednak uchronić przed nieprzewidywanymi wypadkami. Gdy po raz pierwszy przekraczałem progi National Mountain Centre zwróciła moją uwagę pamiątkowa tablica ze słowami Edwarda Whympera, wielkiego brytyjskiego alpinisty, pierwszego zdobywcy Matterhornu w 1865 roku:

Climb if you will, but remember that courage and strength are nought without prudence and that a momentary negligence may destroy the happiness of a lifetime. Do nothing in haste, look well to each step and from the beginning think what may be the end.

„Wspinaj się, jeśli chcesz, lecz pamiętaj, że odwaga i siła są niczym bez rozważań i że chwilowa nieostrożność może zniweczyć szczęście całego życia. Nie rób niczego pochopnie, bądź uważny na każdym kroku i od początku myśl jaki może być koniec”.

Choć dzisiaj słowa te brzmią jak ironiczne echo minionej epoki, pozostają jednak nadal dewizą tego Centrum.

Obecnie Plas y Brenin posiada międzynarodową reputację jednego z najlepszych ośrodków szkoleniowych na świecie. Ze swoimi ogromnymi możliwościami, wysocą kwalifikowaną kadrą, świetną wręcz organizacją może uchodzić za wzór podobnym ośrodkom w całej Europie.

Iwonna Hudowska

BRITISH MOUNTAINEERING COUNCIL

Koncepcja działania

Interesuje Cię brytyjski sposób na góry, szkolenie i organizację środowiska? To może zechcesz przeczytać o BMC, tutejszym odpowiedniku PZA.

British Mountaineering Council jest organizacją działającą od pięćdziesięciu lat i zrzeszającą wspinaczy, turystów pieszych i rowerowych zarówno indywidualnych jak i skupionych w klubach. Dbą o interesy wszystkich zaangażowanych sportowo i rekreacyjnie w wędrówki górskie i w różnorodne rodzaje wspinaczki, od sztucznych ścian po wyprawy wysokogórskie. Nie usiłuje kreować jedynej słusznej formy działalności, lecz tworzy i utwierdza zasady wspólne dla dynamicznie zmieniających się dziedzin sportu i wypoczynku, związanych z górami. Przykładem może być zaliczenie do strefy zainteresowań popularnego ostatnio kolarstwa górskiego.

Przystępując do omawiania poszczególnych funkcji BMC ostrzegam, że to temat obszerny. Jeśli obawiasz się znudzenia, proponuję dla zdobywania orientacji przeczytanie samych tytułów rozdziałów (z wyjątkiem punktu 10 o Klubie Książki Górskiej, który ze względu na moje osobiste zainteresowanie propagowaniem i udostępnianiem literatury górskiej polecam przeczytać w całości) i pójście na skróty wprost do odpowiedzi na pytanie, co Ty sam mógłbyś zyskać na przynależności do BMC. Nie radzę natomiast pomijać pytania zasadniczego, postawionego na końcu, gdyż nie zastanawiając się nad odpowiedzią na nie mógłbyś tylko stracić, nie zyskać.

Oto główne zakresy działalności British Mountaineering Council:

Zrzeszenie

W skład BMC wchodzi zarówno kluby jak i członkowie indywidualni. Rejestracja nowo powstałych klubów jest prosta, a dla osób nie należących do żadnego z nich przewidziane są dogodne warunki uczestnictwa z uwzględnieniem zniżek rodzinnych, studenckich, młodzieżowych.

Reprezentacja

Zrzeszenie reprezentuje swych członków na terenie kraju i w organizacjach międzynarodowych (np. UIAA) gdzie cieszy się sporym prestiżem.

Ochrona naturalnego środowiska górskiego

BMC aktywnie uczestniczy w propagowaniu działalności ochroniarskiej. Przeprowadza rozmowy mające na celu udostępnienie tras turystycznych oraz terenów bulderingowych i wspinaczkowych leżących na obszarach prywatnych i w parkach narodowych. Posiada własne tereny (np. Harisons Rocks), na których zapewnia bezpieczeństwo ringów asekuracyjnych, chroni skały, utrzymuje parkingi, toalety i pola namiotowe.

Kontrola standardów bezpieczeństwa

Komisja Techniczna BMC przeprowadza testy sprzętu wspinaczkowego pod względem jego bezpieczeństwa i spełniania wymogów określonych normami UIAA, a rezultaty testów są publikowane.

<http://pza.org.pl>

Sponsorowanie zawodów

Od 1989 roku BMC selekcjonuje i prowadzi przy pomocy Sports Council zespół wspinaczkowy biorący udział w Pucharze Świata. Zapewnia organizację międzynarodowych imprez ścianowych na terenie kraju oraz udziela pomocy przy zawodach lokalnych.

Ściany wspinaczkowe

Prowadzone są porady w zakresie projektowania i budowy sztucznych obiektów wspinaczkowych we wszystkich rejonach kraju. Setki ścianek zapewniają lokalne możliwości treningu tysiącom wspinaczy o zróżnicowanym poziomie technicznym, uwzględniając dzieci i młodzież.

Przewodniki

BMC publikuje wiele aktualnych przewodników i różnorodnych publikacji specjalistycznych, związanych z górami i sportem. Wydawany magazyn „High” ukazuje się co miesiąc i po obniżonych cenach subskrypcji może stanowić część składek.

Klub Książki Górskiej

Prowadzony klub proponuje bogaty wybór literatury górskiej, popularnych przewodników, albumów i nowości związanych z górami, aktywną rekreacją, sportami pozahalowymi. Zobowiązanie do co najmniej trzymiesięcznej przynależności i warunek kupna jednej publikacji z listy rozprowadzanej co 6-8 tygodni dają możliwość zakupu książek po atrakcyjnych cenach, z dodatkowymi specjalnymi ofertami.

WAŻNE PYTANIE

Co dla szarego członka BMC?

- Porada i informacja na każdy temat związany z działalnością górską i wspinaczkową.
- Automatyczne ubezpieczenie przed osobistą odpowiedzialnością prawną na całym świecie, do kwoty 2 milionów funtów.
- Możliwość specjalnych ubezpieczeń od wypadków z uwzględnieniem akcji ratunkowych, hospitalizacji, przewozu do domu, strat sprzętu i pieniędzy.
- Tanie przejazdy autobusowe do Chamonix i innych miejscowości europejskich.
- Możliwość wyrobienia legitymacji uprawniającej do zniżek w schroniskach alpejskich.
- Zniżki w niektórych sklepach sportowych i turystycznych.
- Karty kredytowe.
- Dostępność ponad stu schronisk na terenie UK.
- Zniżka przy prenumeracie „High”.
- Poczucie przynależności do organizacji potrzebnej i pożytecznej.

PYTANIE ZASADNICZE

A co dla Ciebie, członku PZA?

- Ogromne pole do konstruktywnego myślenia i pozytywnego działania, wytyczającego i realizującego kierunki rozwoju i ewolucji TWEGO ZWIĄZKU.



Rys. Jakub Wiejackski

Kursy

BMC patronuje kursom instruktorskim każdego stopnia, zapewniając uznanie przez UIAA uzyskanych kwalifikacji. Koordynuje i rozpowszechnia informacje o kursach, spełniających wymagane przez BMC kryteria, a organizowanych przez różnorodne instytucje, centra sportowe, kluby, indywidualnych instruktorów. Poleca mniej formalne kursy młodzieżowe, wakacyjne, ściankowe, informuje o odczytach, seminariach, wykładach. Różnorodność proponowanych kursów jest ogromna, gdyż zależy od inicjatywy wielu jednostek, których przedsiębiorczość i pomysły nie są ograniczane a jedynie określone ustalonymi wymogami zakresu, jakości, bezpieczeństwa i kadry.

Wyprawy

Zrzeszenie współpracuje z Expedition Advice Centre przy organizacji seminariów, udzielaniu szczegółowych informacji i porad na etapach przygotowawczych z uwzględnieniem sposobów i możliwości uzyskiwania sponsorów wypraw i przedsięwzięć górskich.

Wiosenne zabawy na śniegu czyli „Nowe nartostrady” w Tatrach

Kolejna zima tuż, tuż, pora więc może wspomnieć coś o nartach - dla niektórych pierwszym sporcie na świecie. Mając nadzieję, że poniższy tekst nie spowoduje najazdu narciarzy na Dolinę Rybiego Potoku (wyciągów tam nie ma i żaden plan, na szczęście, ich nie przewiduje) chciałbym poinformować o dwóch interesujących (moim zdaniem) nowych (?) zjazdach narciarskich w tym rejonie.

Pomysł jednego z nich powstał (w mojej głowie) ponad 11 lat wcześniej, gdy jadąc z Rysów z Romkiem Dawidkiem patrzyliśmy na pięknie wysłoneżony ZACHÓD GRONISKIEGO.

W następnych latach schodząc nim parokrotnie po zimowym wspinaczkowie na myśl o zjeździe narciarskim daleki byłem od entuzjazmu, bo to i strome miejscami i wąskie gdzieś tam, no i ten cholerny trawers - cały czas na jedną nogę.

Pomysł drugiego (ale opisanego wcześniej) zrodził się znacznie później, gdy spacerowaliśmy wraz z Olą Tomkowicz, Andrzejem Kurowskim i Marcinem Chmieleńskim po wschodniej ścianie MIEGUSZOWIECKIEGO SZCZYTU CZARNEGO. Drogę WHP 930 oceniłem jako narciarską i - nie pomyliłem się.

Obydwa zjazdy zrealizowałem wiosną 1994 roku. Bardziej frapujący wydawał się zjazd WSCHODNIA ŚCIANA Czarnej Mieguszowieckiej i od niego rozpocząłem obie wiosenne zabawy na śniegu.

ZJAZD I

11 maja 1994 r. o 4.20 rano wyjechałem z Zakopanego na (kiedyś wyścigowym) rowerze do Morskiego Oka. Jazda w butach narciarskich i z nartami na plecaku na starym, mocno zdezelowanym bicyklu już sama w sobie była niezłą zabawą - kto nie jeździł, powinien spróbować!

Jeszcze żywy, ale mocno zmaltretowany ok. 6.30 znalazłem się koło budzącego się ze snu schroniska. Ledwo zwiłókszy się z mojego ręcznego rumaka podreperowałem mocno nadwątlone siły małym „co-nieco” i krótkim wypoczynkiem, po czym ruszyłem na fokach w kierunku Wyżniego Czarnostawiańskiego Kotła. Tam stwierdziłem, że warunki są podłe: za dużo świeżego, mokrego, niezbyt związanego z podłożem śniegu - był to efekt wiosennego opadu sprzed kilku dni. W ten sposób usprawiedliwiwszy swoje zmęczenie, strach i wrodzone lenistwo rozpocząłem zjazd drogą podejścia.

I wtedy - zdziwienie - narty trzymały się na powierzchni śniegu, skrzęty wychodziły jak należy, więc? Czy wypada tak rezygnować?

Znów ruszyłem w górę, po raz kolejny przekonując sam siebie o bezsensowności chodzenia po

górach. Noga za nogą (eh, ten rower...), najpierw z kijkami, później już z „dziabkami”, wlokłem się w kierunku szczytu, oglądając po drodze co „ciekawsze” miejsca. A było na co popatrzeć, było. Wreszcie dotarłem do grani - tuż obok głównej kulminacji.

W międzyczasie pogoda sparszywiła dość znacznie. Kompletne „mleko”, konfiguracja terenu coraz mniej widoczna. A z grani słychać całkiem efektowne i w miarę regularne odgłosy lawin w Dolinie Mieguszowieckiej. Tego mi jeszcze brakowało dla i tak już wystawionej na próbę „psyche”... Przypinać narty czy nie? Jechać - nie jechać? No, ale w końcu po coś tutaj przyszedłem. A więc - JAZDA!

Pierwsze metry bardzo powoli i ostrożnie - badanie śniegu, nart i siebie. Usiłowanie stłamszenia tego czegoś podpowiadającego „nie jedź!” Po chwili pierwsze trudne miejsce, wymagające „zwspinania” się po mikstowym prożku z nartami na nogach. Później przeskok, kilka skrętów (stro-mo!) i do bardzo wąskiej rynny. Schodkowanie,



*Zjazd I. Mieguszowieckie szczyty od wschodu
Fot. Piotr Konopka*

niżej już nartami po skale, aż wreszcie - nie ma innej rady - trzeba odpiąć narty. Kilka metrów zejścia bez nich i nagle niełatwo do rozwiązania problem: jak je tu znów przypiąć? (stromo!). Po kilku próbach narty znalazły się na swoim miejscu i mogłem zabawę kontynuować. Jeszcze jeden trawers, jeszcze jedna wąska rynna, (znów narty z obydwu stron oparte na skale) i wreszcie teren „dla ludzi”, tzn. szerszy niż 195 cm! ale w zamian śnieg *kaprawy* coraz bardziej, bo to już coraz niżej a i południe prawie się zrobiło. Mimo to można już było jechać jako - tako (przeskok). Znowu trochę adrenaliny tuż przed wjazdem do „WCzK” (stromizna nie zmalała, ale za to śnieg był coraz bardziej lawiniasty...) i wreszcie można by (gdyby nie odwilż) cieszyć się normalną jazdą. Pomimo kompletnego *zmięku* narty ciągle jechały i zawiozły mnie przez rozmarzające jezioro aż pod wspaniałe ogrzaną ciepłym, wiosennym słońcem morenę Morskiego Oka. Piwo przed ostatnią (znów rowerową) częścią wycieczki smakowało naprawdę wybornie!

ZJAZD II

Morskie Oko, 4 czerwca 1994 r. Mamy prowadzić (z Włodkiem Cywińskim i Maćkiem Pawlikowskim) zajęcia dla kandydatów na przewodników tatrzańskich. W związku z tym leje od rana równo. Cóż, trzeba iść, w końcu to nasza praca... Wziąłem narty, bo „a nóż...” uda się gdzieś zjechać? Jaka taka zima panowała od wysokości Czarnego Stawu. Podzieleni na 3 grupki wleźliśmy do żlebu spod Rysów i nagle - charakterystyczny łoskot spadających głazów - LAWINA! Ostrzeżenie dla podopiecznych, skok za najbliższy kamień i już byliśmy w towarzystwie lecących wprost na nas całkiem pokaźnych bloków skalnych. Jak w prawdziwych górach! Jakimś cudem nasi kursanci nie pozwolili się pozabić, ale dla prowadzącego całą czeredkę Włodka było to sygnałem do zakończenia całej eskapady na Buli pod Rysami. W górnej, węższej części żlebu nie mieliśmy w takiej sytuacji szans...

Ci, którym chciało się taszczyć narty, zostali nagrodzeni całkiem miłym zjazdem do Czarnego Stawu. W ten sposób, przekonawszy się o w miarę przyzwolonych warunkach śniegowych (w przeciwieństwie do pogodowych) zacząłem rozwijać kielującą od dawna myśl o zjeździe na nartach Zachodem Grońskiego.

Pozostawiając podopiecznych z Włodkiem i Maćkiem, zawróciłem, aby (przemoczony i zziębnięty) „cieszyć się życiem”. Już po dojściu do trawersu pod Żabim Koniem ogarnęły mnie pierwsze



*Zjazd II. „Wołowa” nartostrada
Fot. Piotr Konopka*

wątpliwości - czy aby zjadę ten odcinek? Hm, wyglądało ciekawie... Pod ŻTM kolejna fala (czego to?). Jeszcze kilka metrów i postanowiłem dać za wygraną. Cóż, może innym razem? Przetrawersowałem pod ścianą ŻTM, przypiąłem narty i do domu, do ciepła, do bezpieczeństwa! I znów, podobnie jak przed kilkoma tygodniami, zdziwienie: narty jechały aż miło. Tylko im nie przeszkadza! Może jednak warto spróbować? Myśl przemknęła, decyzja zapadła. Znowu w górę.

Na grani odpoczynek. Nerwowe nieco przypinanie nart i sprawdzanie wiązań. Gdy nie ma już innych usprawiedliwień przed samym sobą do dłuższego pozostawiania w jakże bezpiecznym siodle przełęcz - pora zaczynać.

Jak zwykle nieco „szybywe” pierwsze metry. Trochę trzeba zeschodkować, później długi, stromy (!) trawers („dziabka” w jednej ręce, kijki w drugiej), kilka metrów w górę i - chyba najgorsze za mną? Kawałek ześlizgiłem, dalej na nartach przez skały i wreszcie można normalnie jechać. Lewy skręt - „w czeluść”, prawy - do stoku; łatwo, miło, bezpiecznie; znowu lewy - itd. Nad Kominem Węgrzynowicza sekunda zastanowienia - lepiej nie tędy... W zamkniętej, żlebowej części Zachodu prawie łatwo - niemalże jak „Pod Palcem” na Kasprowym. Jeszcze trawers pod ŻTM-em, Żabim Koniem i już wjazd do szerokiego, łatwego i bezpiecznego żlebu spod Rysów, gdzie narty rzeczywiście „jadą same” - i to całkiem chętnie. Radość, odprężenie, zabawa na nartach!

Taaak, to chyba rzeczywiście pierwszy sport na świecie.



Chatka na Włosienicy

Koledzy zainteresowani zimową wspinaczką. Pamiętajcie - Klubowa Baza Zimowa na Włosienicy oczekuje Was od 1 grudnia '94 do 1 maja '95.

Co fotografujemy?

Wspinaczka, zwłaszcza wyczynowa, jest tak absorbująca psychicznie i fizycznie, że nie pozwala na robienie zdjęć wykraczających ponad poziom dokumentacji towarzyskiej. Działalność w zespole dwójkowym na ekstremach skalnych i lodowych utrudnia fotografowanie, a często je uniemożliwia. Nie ma czasu, siły i wolnych kończyn na nic, poza wspinaniem i asekuracją. Porządny zestaw sprzętu fotograficznego jest ciężki i zabiera sporo miejsca w selakcjonowanym co do grama ekwipunku. Z drugiej strony każdy wspinacz z racji działalności sportowej przebywa w górach wiele miesięcy w różnych porach roku, porusza się trasami niedostępnymi zwykłym śmiertelnikom, często jest świadkiem rzadkich i pięknych zjawisk w przyrodzie, ogląda krajobrazy z miejsc w których tylko on może się znaleźć. Nie wspominając o możliwości spotkania Yeti i innych, unikatowych elementów flory i fauny. Warto abyśmy takie chwile umieli zarejestrować na zdjęciu: dla siebie, swoich pieniędzy, kolegów, potomnych mających szansę doczekać góry dobrze zakonserwowanych przez suchy klimat śmieci w miejscu Mont Everestu, Mont Blanc czy Rysów.

Wybitnym artystą nikt jeszcze, bez dziesięciu procent talentu i dziewięćdziesięciu ciężkiej pracy, nie został. Ale fotografowania, tak aby nie trzeba było się wstydzić przed sobą i znajomymi, aby zdjęcia były „sprzedawalne”, może się nauczyć każdy. O warsztacie i spręcie fotografa gór napisałem w poprzednich dwóch numerach „T”. Część niniejszą poświęcę dążeniu do tworzenia, czyli podstawom budowy formy i treści zdjęcia gór.

W poszukiwaniu tematu

Jeleń na rykowisku o zachodzie słońca, z jeziorkiem, nimfą i łabędziem w tle może stać się dziełem sztuki, jeżeli zostanie dobrze sfotografowany. Dobrze to ciekawie, w sposób niebanalny, ale poprawny technicznie i spójny kompozycyjnie, co nie znaczy że w idealnej zgodzie z akademickimi regułami kompozycji. Każdy temat jest dobry, jeśli umiemy go odpowiednio „zdjąć” - jeżeli mamy pomysł na sposób pokazania fotografowanego tematu i potrafimy go zrealizować. Nie ma tematów złych. Są tylko łatwiejsze i trudniejsze do realizacji. Takie, które same podsuwają pomysły ujęcia i takie, przy których trzeba pomyśleć. Samotna kozica na grani, szczyt przecięty granicą świata o wschodzie, ekstremalista strzelający do kłamy to standardy. Ale nie widzimy prawie dobrych zdjęć reporterskich pt. Powrót z gór. Z jakiegoś powodu lubimy fotografować swoich kolegów w pozach bohaterów, a nie potrafimy ustrzelić dobrego portretu wypompowanego herosa jak tylko wchodzi do bazy. Odpadanie, które z racji dynamiki jest wdzicznym tematem reporterskim, też jakoś nie cieszy się naszym zainteresowaniem. Wyrzucanie z kolekcji za-

chodów słońca, „bo się koledzy będą śmiali”, stało się przysłowiowe, choć zupełnie niesłuszne.

Pokazujemy temat

Dobór pokazywanych czy publikowanych zdjęć jest równie ważny jak komponowanie każdego z nich osobno. Wybór fotografii na pokaz slajdów, do albumu z wyprawy czy prospektu zawodów wspinaczkowych jest również rodzajem komponowania. Zestawy slajdów dobieramy zgodnie z regułami montażu filmowego: umieszczając na przemian bliskie portrety, ogólne widoki, detale skały, kwiatków i sprzętu. Przy demonstracji musimy wziąć pod uwagę czas prezentacji każdego slajdu i czas całego pokazu: każde zdjęcie ma swój charakter: nie może być demonstrowane za długo ani za krótko. W pokazie nie możemy umieścić zbyt wielu zdjęć, bo zrobi się nudny, ani za mało, bo będzie mało interesujący. Starajmy się nie pokazywać kilku bardzo podobnych widoków, ale też nie wrzucajmy do magazynków wszystkiego, co nam wpadnie w oko: nie mylmy bogactwa z bałaganem. Diaporama, jak nazywa się pokaz slajdów w środowisku fotografików, jest sama w sobie dziedziną sztuki. Kompozycją stron w albumach i folderach zajmują się profesjonalni graficy, ale podstawowego wyboru zwykle dokonujemy sami: musi być on jeszcze staranniejszy niż w przypadku slajdów, bo zdjęcia w albumie widz ogląda tak długo jak chce: każde musi być interesujące i dobrze zrobione. Techniczne i artystyczne niedoróbki odrzucamy na samym wstępie, chyba że mają wielką i nie tylko subiektywną wartość dokumentalną. Musimy się nauczyć trzeźwej, z dystansem, oceny twórczości własnej i kolegów. Nieumiejętność właściwej selekcji zrobionych zdjęć to jeden z powszechniejszych „grzechów” niemal każdego początkującego fotografa amatora. Pamiętajmy: pokazujemy tylko nasze najlepsze zdjęcia. Reszta jest naszą słodką tajemnicą. Knoty ładują natychmiast w koszu, a w najpóźszym razie chowamy je głęboko niezależnie od tego ile pracy i wysiłku kosztowało ich zrobienie.

Magiczny kadr

W kadrowaniu nie ma magii. Jest za to zbiór wypracowanych empirycznie i potwierdzonych teoretycznie reguł, które powinniśmy przyswoić. Poznawszy możemy każdą osobno lub wszystkie naraz stosować literalnie lub na opak.

Kadr to kompozycja układu obiektów przestrzennych zarejestrowana na płaszczyźnie zdjęcia czy klatki filmowej albo ramki video. Kompozycja skadająca się z trzech warstw: geometrycznej, walorowej i barwnej. Warstwy te muszą być ze sobą zharmonizowane, a każda z nich dopracowana. Dobrze zakomponowany kadr pozwala interesująco pokazać nawet banalne sytuacje i widoki. Można przyjąć za pewnik, że wszystkie możliwe widoki, sytuacje, rodzaje zdarzeń już ktoś sfotografował. Nasza rzecz w tym, aby sytuację pokazać ciekawie, inaczej niż to samo pokazywali i pokazują inni. Aby z sytuacji wybrać takie fragmenty i taką chwilę, które równocześnie stanowią esencję wydarzenia, krajobrazu, postaci oraz nie są kopią z przedstawień podobnych sytuacji dokonanych

przez innych. Ocena sytuacji, wybór jej fragmentu są działaniami subiektywnymi. W tym wyraża się osobowość twórcy, która może być wielka i oryginalna, a może też mialka i banalna. Wybór zależy od nas samych.

Złoty podział

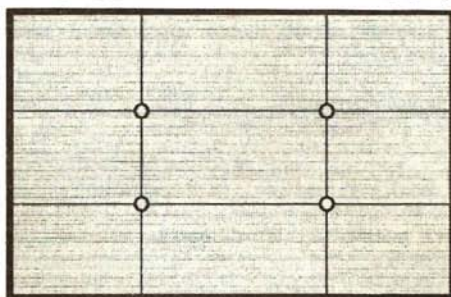
Podstawą budowy geometrii kompozycji jest stosowanie dwóch reguł: reguły złotego podziału i wynikającej, między innymi z niego, reguły mocnych punktów. Złoty podział odcinka to taki, aby mniejsza część do większej pozostawała w takim samym stosunku, jak większa do całego odcinka. Nikt nie wymaga od nas biegania z linijką i kalkulatorem na zdjęcia. Przybliżone stosowanie zasad złotego podziału przy komponowaniu w kadrze wybitnego szczytu na horyzoncie czy postaci samotnego wspinacza na kancie filara daje dobre efekty. Wysokość horyzontu (proporcja ziemi do nieba) w panoramicznym ujęciu łańcucha górskiego ustalona w oparciu o złoty podział pionowych boków kadru jest skutecznym sposobem budowy mocnego kadru. Złoty podział zastosowany do organizacji płaszczyzny kadru daje nam wrażenie porządku i równowagi. Jeżeli ten sam złoty podział zastosujemy do wyznaczenia mocnych punktów kadru, otrzymamy lokalizację stref obrazu w których powinniśmy umieścić ważne, te które chcemy wyeksponować, elementy fotografowanej sytuacji, aby zostały szybko zauważone przez widza, a zarazem nie burzyły harmonii kompozycji. Ale zacznijmy od początku: mocne punkty kompozycji to takie jej strefy, na których wzrok oglądającego skupia się odruchowo, w wyniku działania zespołu odruchów percepcyjnych. Ani jeden z czterech mocnych punktów kadru nie leży w jego centrum. Aby stwierdzić gdzie w danym formacie znajdują się mocne strefy kadru, musimy podzielić boki kadru według reguł złotego podziału, a punk-



$$\text{Złoty podział odcinka } \frac{BC}{AB} = \frac{AB}{AC}$$

ty złotego podziału leżące z tej samej strony przeciwnych krawędzi kadru musimy połączyć liniami prostymi. Miejsca przecięcia się linii wyznaczają nam środki mocnych stref obrazu. Mocne strefy możemy wyznaczać również dzieląc boki kadru w stosunku 1/3:2/3 lub 1/4:3/4. Punkty przecięcia linii podziału dokonanego w jeden z powyższych sposobów znajdują się w tych samych mocnych strefach jakie wynikają z podstawy złotego podziału, tyle że wyznaczają granice mocnych stref kadru. Złoty podział ma też inne zastosowania: boki standardowej klatki fotograficznej małoobrazkowej (24x36 mm) pozostają do siebie, w przybliżeniu, w stosunku złotego podziału. Podobnie proporcje boków wielu popularnych formatów papieru fotograficznego, na przykład standardowe Kodaka 10x15 cm czy 15x25 cm. Kadr o bokach pozostają-

cych do siebie w stosunku złotego podziału sprawia wrażenie zrównoważonego i zgrabnego. Jest łatwy do zakomponowania: dokonujemy tego niemal samoczynnie, instynktownie, a mocne punkty wyznaczane w nim na podstawie takiego podziału boków są wyjątkowo silnie osadzone na jego pla-



Mocne punkty kadru

szczytnie. Formaty o innych proporcjach boków możemy równie dobrze zakomponować, ale jest to trudniejsze i wymaga doświadczenia oraz świadomego, przemysłanego działania.

Organizacja kadru

Podstawy organizacji kadru możemy oprzeć na omówionej wcześniej regule złotego podziału. Nie zmniejszając jej wpływu na układ kompozycji możemy nasz kadr dodatkowo uporządkować i zdynamizować wykorzystując jako budulec naturalne podziały geometryczne obiektu zdjęcia, szczególnie biegnące po przekątnej w stosunku do położenia naszego kadru. Zboczne góry, ostre grani czy przewieszka z profilu przecinające ukośnie kadr dodają mu ekspresji. Jeżeli robimy zdjęcia ściany ze wspinaczem pionowo w dół lub w górę, to ułożenie granicy skały i nieba lub skały i piargu czy trawy po przekątnej klatki dodatkowo dramatyzuje naszą kompozycję: sugeruje większą stromiznę i więcej „powietrza” niż jest faktycznie. Najdalej idącą metodą zdynamizowania ujęcia jest odwrócenie kierunku góra-dół na zdjęciu połączone z ułożeniem ściany po przekątnej. W przypadku zdjęć fotograficznych nie musimy robić nic specjalnego oprócz opracowania gotowej odbitki „do góry nogami”.

W górach rzadko występują sytuacje przestrzenne, w których perspektywa linearna może w naszym zdjęciu budować czy wspomagać układ kompozycyjny. Zbieżność linii równoległych do kierunku spojrzenia w miarę jak oddalają się naszego punktu widzenia rzadko widzimy w górach, dlatego że mało jest tam obiektów zbudowanych z długich linii równoległych, więc perspektywa geometryczna acz występuje, nie jest w górskiej fotografii pomocna i trudno jej użyć jako środka wyrazu. Raczej nam przeszkadza, kiedy próbujemy ustrzelić portret ściany stojąc u jej podnóża i zadzierając obiektyw aparatu ukośnie do góry. „Wypłaszczanie się” i „walenie” ścian w takim ujęciu to właśnie wpływ perspektywy linearnej na ich wygląd na zdjęciu. Natomiast ostre krawędzie głazów, rysunek płyt, śmiałe linie grani znakomicie pomagają w geometrycznej konstrukcji kompozycji.

Istnieją dwa rodzaje kompozycji: zamknięte i otwarte. Kompozycje zamknięte to takie, w których główne składniki są umieszczone i skierowane do wewnątrz, wpisane w figurę stanowiącą jej bazę. W kompozycjach otwartych główne motywy są opisane na układzie geometrycznym stanowiącym bazę. Tak kompozycje otwarte jak zamknięte zawierają się w ramach kadru. Naturalna interpretacja jest oczywista: układ zamknięty wyraża napięcie, skupienie, bliskość, ale też osaczenie; układ otwarty to swoboda, przestrzeń i wolność, ale też dystans. Układ kompozycyjny w fotografii jest nierozdzielnie związany z treścią zdjęcia. Oczywiście, fotografując poszukujemy świadomie lub podświadomie układu kompozycyjnego takiego jaki lubimy i jaki pasuje do fotografowanej sceny. Ze względu na sposób powstawania fotografii nie mamy swobody malarza czy rysownika, którego ogranicza jedynie wyobraźnia. Typowe układy zamknięte to np. widok przez okno skalne albo portret zrobiony spod nóg wspinacza stojącego w rozkroku, gdzie twarz jest widoczna w okienku między skałą a nogami i rękoma. Natomiast sytuacja kiedy nasz partner pakuje plecak pochylony nad nim może prowadzić do układu zamkniętego, jeżeli fotografujemy go tak, aby wypełniał cały kadr, albo do otwartego, jeżeli ujmujemy go w planie ogólnym, na tle panoramy, jako tzw. sztafaż ludzki. Typowy układ otwarty to samotna postać na grani, szeroka panorama gór, itp. Możemy też budować kompozycje hybrydowe



*Dzień słoneczny, negatyw Fuji Neopan 100 ASA
obiektyw 50 mm, filtr ciemnoczerwony*

częściowo zamknięte lub częściowo otwarte. Większość spotykanych zdjęć jest właśnie taka. Kompozycje tak zamknięte jak otwarte mogą być zrównoważone, jeżeli „ciężar” elementów kompozycji jest rozmieszczony równomiernie wzdłuż poziomego boku kadru i nie zrównoważone, jeżeli ciężar wyraźnie przeważa w kierunku jednego z boków pionowych. „Ciężar” to subiektywne odczucie masy tego co widzimy w kadrze. Jeżeli w kadrze zestawimy ze sobą dwa jednakowe elementy różniące się kolorem, to wrażenie większej masy wywoła z reguły ten ciemniejszy. Jeżeli elementy mają podobny kolor, to cięższemu wydaje się ten, który ma bardziej zwartą strukturę.

Kompozycję, aby była spójna i zrównoważona, musimy oprzeć konstrukcyjnie na jakiejś figurze geometrycznej. Jeśli spojrzymy uważnie na wybitne zdjęcia czy obrazy, zauważymy, że tak robią najwięksi. Może to być okrąg, trapez, kwadrat, romb, nawet linia prosta, czy coś mniej regularnego lub kombinacja figur prostych. Taka baza porządkuje układ elementów kompozycji i nadaje jej charakter: statyczny,



*Dzień pochmurny, negatyw Ilford HP 5, 400 ASA,
obiektyw 80 mm, filtr pomarańczowy*

jeżeli bazę stanowi figura prostokąta - kwadrat, prostokąt, linia pozioma czy pionowa w stosunku do brzegów kadru; albo dynamiczny, jeżeli jako bazy konstrukcyjnej użyjemy rombów, trójkątów, przekątnych kadru czy koła. To ostatnie ma szczególne właściwości: kompozycje oparte na nim łączą dynamikę ze spokojem i harmonią. W malarstwie możemy bazę konstrukcyjną kompozycji wybierać i kształtować dowolnie. W fotografii jej wybór jest ograniczony materiałem jakim dysponujemy: obiektem zdjęcia. Ale nawet w takiej sytuacji mamy decydujący wpływ na rodzaj kompozycji i jej wyraz. Na sposób zakomponowania swojego dzieła wpływamy wybierając temat, jego ujęcie, naświetlenie, dobierając ustawienie aparatu, kąt widzenia obiektywu itp. Ten sam obiekt: np. partnera stojącego na skalnej półce możemy sfotografować spod jego nóg, szerokokątnym obiektywem, naświetlając tak, aby uzyskać niemal sylwetkę na tle nieba. W rezultacie uzyskamy kompozycję opartą na bazie trójkąta o wąskiej podstawie; bardzo dynamiczny i ekspresyjny obraz o wyrazie monumentalnym i dramatycznym: „Bohater na skale”. Fotografując ten sam temat z boku, teleobiektywem przy małej głębi ostrości i pod słońce, ujmując całą postać w pionowym kadrze, uzyskamy kompozycję opartą na dwóch liniach pionowych: skały i postaci, kompozycję spokojną i dającą wrażenie swobody oraz dużej przestrzeni: „Dziki i swobodny”. Dobór odpowiedniej konstrukcji zależy od naszego własnego spojrzenia: gustu, preferencji estetycznych. Musimy pamiętać o kilku zasadach: jeżeli nie mamy wyraźnej koncepcji na sposób łapania kadrów, to musimy się do nich stosować. W związku z powyższym, jeżeli w kadrze występuje człowiek, to on jest najważniejszym jego elementem, a najważniejszą częścią zdjęcia jest dla nas jego twarz, nawet jeżeli jest zakryta kominiarką i gogglesami. Jeżeli

mamy czas, dobieramy kompozycję świadomie budując ją od podstaw koncepcyjnych. Często natomiast na wszelkie działania związane z komponowaniem zdjęcia mamy ułamek sekundy. Dlatego niesłychanie ważnym elementem w nauce fotografowania jest dla każdego kandydata na następcę Henri Cartier-Bressona i Roberta Capy'ego trening w kadrowaniu. Póki dobór kompozycji nie stanie się odruchem, musimy robić dużo zdjęć, świadomie szukając na zmianę różnych układów. Musimy analizować ich kompozycję po zrobieniu odbitek czy przy projekcji (jeżeli robimy slajdy). Wtedy, poza tym, że nauczymy się sprawnie kadrować, odkryjemy być może własny styl. Każdy widzi geometrię przestrzeni nieco inaczej i każdy inaczej chce ją opisać kadrem. Dlatego kadrowanie to najbardziej indywidualna, osobista cecha autora zdjęcia.



Świt pogodny, negatyw Swiema Foto 65, 100 ASA, obiektyw 35 mm, filtr niebieski

Kolor

Paleta barwna to wszystkie kolory występujące w kompozycji. Możemy używać pełnej palety dążąc do naturalistycznego odwzorowania barw fotografowanego świata. Możemy z barw zrezygnować uprawiając fotografię monochromatyczną (tzw. czarno-białą) albo dobrać własną kolorystykę, tworząc osobisty klimat. Własny zestaw barw dobieramy wstępnie wybierając firmę fotochemiczną i rodzaj materiału światłoczułego, stosując filtry, wreszcie wybierając motywy o odpowiednim kontraście barwnym, odpowiadającej nam tonacji. Kompozycja barwna powinna pasować do geometrycznej. Trudno w obrębie jednej kompozycji łączyć ekspresyjność układu geometrycznego ze stonowaną pastelową kolorystyką. Nie można sfotografować realistycznie kontrastowego motywu w pastelowych barwach, bo albo kontrast nie wyjdzie, albo barwy nie będą pastelowe.

Kompozycję barwną możemy budować na dwóch, sobie przeciwstawnych, filarach. Jednym z nich jest wspólnota barwna (konlunkcja barw), a drugim kontrast barwny (opozycja barw). Są trzy barwy podstawowe: czerwona, zielona i niebieska oraz trzy dopełniające: żółta, purpurowa (czerwono-niebieska, magenta) i niebiesko-zielona (cyan). Barwy całkowicie opozycyjne do siebie to pary: barwa podstawowa i barwa dopełniająca, czyli: czerwona-cyan; zielona-magenta; niebieska-żółta.

Jedyną paletą to taka, w której stosujemy barwy z jednej tylko rodziny: np. w dalekich pejzażach, ukazujących liczne, wylaniające się jeden z drugiego łańcuchy górskie, fotografowanych teleobiektywem występują wyłącznie lub niemal wyłącznie odmiany niebieskiego o różnym stopniu czystości i nasycenia. To przykład palety koniunkcyjnej. Nieco mniejsza wspólnota barw występuje, gdy barwy są różne, ale pochodzą z tej samej rodziny tj. wszystkie są zimne (niebieski, zielony, niebiesko-zielony i ich pochodne), albo ciepłe (żółty, czerwony, purpura i ich pochodne). Barwy harmonizuje również stopień nasycenia przy czym znacznie łatwiej skomponować harmonijną paletę barw, jeżeli elementy składowe mają małe nasycenie, są silnie rozbieżne albo przyciemnione, niż wtedy gdy są bardzo jaskrawe. Dobrze komponują się barwy o podobnym stopniu czystości. Pamiętajmy ponadto, że plama barwna w tonacji ciepłej będzie znacznie lepiej widoczna na zimnym tle, niż zimna plama na ciepłym tle. Plama o mocnym nasyceniu barwy będzie bardziej widoczna na tle barw pastelowych, niż pastelowa plama na jaskrawym tle. Plama ciemna na jasnym wyda się większa, niż taka sama plama jasna na ciemnym. Organizacją barwnych plam na płaszczyźnie kompozycji rządzą te same prawa co układem geometrycznym: zasada złotego podziału i zasada mocnych punktów. Im bogatsza paleta - więcej barw składa się na kompozycję, tym trudniej nam nad nią zapanować: zorganizować nasz kadr w sposób jednoznaczny, aby wrażenie końcowe nie budziło skojarzeń ze znanym ptakiem powstającym na skutek nadużycia alkoholu, najczęściej na ścianie.

Fotografując możemy wpłynąć na paletę barwną wybierając temat zdjęcia. W wybranym kadrze nasycenie barw regulujemy naświetleniem i filtrami efektowymi. Paletę możemy modyfikować subtelnie ocieplając albo oziębiając tonację filtrami temperaturowymi, albo zdecydowanie stosując filtry tzw. kreatywne czy wręcz filtry barwne do fotografii czarno-białej. Ta ostatnia metoda, w wypadku użycia gęstych filtrów, powoduje wystąpienie bardzo silnej dominacji w barwie filtru albo wręcz zanik wszystkich barw poza barwą filtru.

Walor

Walor to jasność barw (w fotografii barwnej) albo jasność tonów szarości (w fotografii czarno-białej) obiektu fotografowanego, bez światłocienia. Jeżeli fotografujemy w plenerze przy silnie zachmurzonym niebie, co zdarza się w naszym klimacie dosyć często, mamy na zdjęciu niemal wyłącznie walor fotografowanego obiektu. Ciekawie wychodzą w takich warunkach skały: znacznie lepiej niż w słońcu widać ich strukturę, warstwy, żyły kwarcu itp. Kompozycję czysto walorową budujemy na zasadzie „ciemne na jasnym, jasne na ciemnym”, w przeciwnym wypadku najważniejszy obiekt w naszym kadrze może być niewidoczny. Oczywiście, można fotografować czarne na czarnym i białe na białym, ale nawet jeżeli kontrolujemy całość padającego na obiekt światła, jest to trudne: zadanie dla zaawansowanych fotografów, acz efekty często są wspaniałe. Szczególnie wyrażane kompozycje form i faktur śnieżnych foto-

grafowane w rozproszonym świetle bywają wdzięcznym tematem.

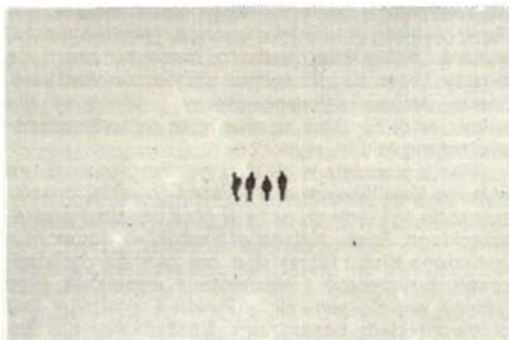
Światłocień

Światło padające na bryłę odbija się od niej, załamuje na niej i pozwala nam widzieć jej trzy wymiary. Światłocień buduje przestrzeń kadru. W górach głównym źródłem światła jest słońce. Przy fotografowaniu z niewielkiej odległości możemy się posłużyć fleszem jako światłem dodatkowym. Ale pełni on rolę głównie technologiczną: pozwala zmniejszyć kontrast ekspozycyjny przy zdjęciach pod światło. Dlatego decydujące znaczenie w fotografii górskiej ma umiejętne wykorzystanie światła słońca. Nie ma złej pory i złej pogody do fotografowania, choć nie wszystko i nie zawsze dobrze wychodzi. Dla plastyki naszego zdjęcia decydujący jest kierunek światła słońca względem obiektu naszego zdjęcia. Jeżeli chcemy sfotografować portret ściany naszych marzeń czy tej ostatnio pokonanej, tak aby była wyraźnie widoczna jej rzeźba, musimy znaleźć taki czas i miejsce kiedy słońce pada niemal równolegle do płaszczyzny ściany, a zdjęcie robimy pod kątem prostym w stosunku do kierunku światła. Wtedy światłocień wymodeluje nam wyraźnie wszystkie okapy, rynny, żłebki, żebra, płyty itd. Przy czym jeżeli słońce będzie w zenicie, pokaże nam najwyraźniej poziomą rzeźbę, a jeżeli będzie to „magiczna godzina”, po wschodzie czy przed zachodem, wtedy najwyraźniej wyjdzie rzeźba pionowa. Na pewno nie wyjdzie nam ciekawe zdjęcie, jeżeli sfotografujemy ścianę w pełnym cieniu, nawet jeśli poprawnie ustalimy ekspozycję. Zdjęcia krajobrazowe robimy według tych samych zasad, wykluczając okres wysokiego słońca około południa. Natomiast możemy fotografować pod słońce. Rysunek oświetlonych grani, z mgiełką w głębi zacienionych dolin... sam Hokusai by się nie powstydział. Kompozycje z wieloma planami kolejno wyłaniającymi się zza siebie wychodzą bardzo dobrze w kontrze, czyli właśnie pod słońce. Zacienione zbocza oświetlone światłem czystego nieba są dobrym miejscem do studiowania faktur szronu na kamieniach czy trawach, lodu i śniegu, tym bardziej że mamy wtedy źródło światła o wielkiej powierzchni: sporą część nieboskłonu, a jego światło jest częściowo spolaryzowane, więc charakter odbłasków w blyszczących soplach jest bardzo specyficzny. Jeszcze lepszą porą do tego celu jest, przy słonecznej pogodzie, moment między zachodem słońca a zapadnięciem ciemności, oczywiście po „nasłonecznionej” stronie grani. Mamy wtedy światło nieba w dwóch zestawach kolorów: od zachodu czerwono-żółte, z pozostałych stron niebiesko-fioletowe. Im ostrzejsze słońce, tym ostrzejsze cienie. Dlatego do fotografowania miękkich i łagodnych kształtów ludzkiej twarzy znacznie lepiej niż południe słonecznego dnia nadaje się dzień lekko zachmurzony lub wczesne przedpołudnie i późne popołudnie. Fotografując twarz musimy zwracać uwagę na kierunek padania światła w stosunku do kierunku spojrzenia i w stosunku do kierunku fotografowania. Dobrze wygląda kontra, uzupełniona światłem flesza od strony aparatu. Interesująca jest twarz oświetlona z boku. Jeżeli twarz jest oświetlona przednio-bocznie, to optymalny jest kierunek

światła równoległy do bocznej ściany nosa i z wysokości takiej, aby padało równoległe do krawędzi przegrody nosowej. Najgorszy jest kierunek światła z przodu, czyli zza naszych pleców. Wszystko wychodzi płaskie i żadne eksperymenty z perspektywą, kolorem i naświetleniem nic na to nie pomogą.

Czego nie fotografujemy

Wszystkie części składowe naszego kadru są ważne. Cały jego obszar to informacja. Przekaz treści czy emocji, który dajemy widzowi. Są mocne punkty kadru, które każdy patrzący zauważa natychmiast i są strefy peryferyjne, których, zwłaszcza przy pobieżnej obserwacji, nawet nie zauważamy. Jednak właśnie tam tkwi słabość wielu zdjęć. Najwspanialszy motyw główny możemy zaprzepaścić nie dbając o czystość kadru. Wszystkie fragmenty przed-



Zmierzch pogody, negatyw Swiema Foto 65, 100 ASA, filtr ciemno czerwony

miotów i ludzi, które nie biorą udziału w naszej kompozycji, musimy zostawić poza polem widzenia naszego aparatu. Obcięte krawędziami kadru ręce, czekan kogoś, kto się nie zmieścił w kadrze, fragment plecaka, lina przecinająca róg kadru, zwłaszcza jeżeli są jaskrawe, brudzą kadr i odwracają uwagę od jego głównej treści. Słupy i drzewa nie powinny wyrastać z ramion naszego modelu, jego partner wspinaczkowy również. Podobnie musimy zwracać uwagę, aby naszym modelowi nie wyrastały szarotki z ucha. Fotografowana postać powinna mieć twarz. Twarz nie przeciętą liną, linką namiotową, styliskiem czekana, nie przesłoniętą własnym ramieniem. Wszelakie „śmieci” zasłaniające nam główny motyw, albo pałętające się po brzegach kadru usuwamy natychmiast zmieniając punkt widzenia, odległość, ogniskową obiektywu. Owszem, często widzujemy w kompozycjach zdjęć pierwszy plan w postaci traw, liści, czasem nawet nieostrych, ale nie może to być pojedyncze, załamane i nieostre źdźbło wyrastające ukośnie w środku panoramy Himalajów ze Wzgórza Tygrysów. Jeżeli to odpowiada naszemu charakterowi, możemy pozwolić sobie na pewną dozę nonszalancji w kompozycji kadrów. Ale nigdy nie możemy tego mylić z niechlujstwem. Jeżeli nie fotografujemy Widma Brokenu, brudem w zdjęciu jest cień, nasz własny lub innej osoby niewidocznej w kadrze oraz nasze własne kończyny, np. nogi często „wchodzące” przy zdjęciach pionowo w dół szerokokątnym obiektywem.

Spacerkiem po sklepach

Pod koniec października odwiedziłem warszawskie sklepy prowadzące sprzedaż sprzętu wspinaczkowego. Nie najszczęśliwiej to może wypadło - gdyż między sezonami - stąd asortymenty letnie były nieco na wyczerpaniu, a zimowe - dopiero miały zawitać, tym niemniej sondaż przeprowadziłem praktycznie jednocześnie (w ciągu 2 dni), stąd możliwość w miarę obiektywnych porównań. Przykładowe ceny, które podaję, ilustrują stan październikowy i w momencie wydania numeru mogą być już częściowo nieaktualne.

Paker - Twarda 2/4 (przy pl. Grzybowski), tel. 20-40-77.

Znakomicie zlokalizowany, lecz mieszczący się w piętrowym budynku o magazynowo-biurowej urodzie „Paker”, od zewnątrz raczej nie rzuca się w oczy. Wnętrze robi jednak przyjemne wrażenie. Towar dobrze wyeksponowany i dostępny dla klienta, w dużym, jak na niewielką stosunkowo powierzchnię lokalu, wyborze.

Firma powstała w 1991 r., poczynając od Biura Wysoko Kwalifikowanej Turystyki Górskiej organizującego wyjazdy głównie w góry obszaru postradzieckiego. Szef - Krzysztof Skrocki - członek Studenckiego Klubu Górskiego, ma za sobą doświadczenie turystyczne z elementami wspinania, jego główny współpracownik - Paweł Trochimiuk jest przewodnikiem beskidzkim. Sprzedawcy nie zawsze wywodzą się z kręgów turystycznych lub wspinaczkowych, można jednak liczyć na kompetentną poradę.

Obecnie podstawą działalności jest sklep (w tym także sprzedaż hurtowa wyrobów firm: Małachowski, Skatek, Magmar, Fatra, Jany Sport) oraz produkcja odzieżowa na niewielką skalę. Ta ostatnia ma stanowić alternatywę i wypełnić lukę między dobrymi, ale drogimi wyrobami renomowanych firm, a produktami tanimi, lecz bezwartościowymi. Są to udane modele dresowo-bieliznianie z cienkiego polara, a także małe serie kurtek, odzieży ortalionowej, drobnej konfekcji górskiej.

- Nie chcemy sklepu sportowego. Naszą ambicją jest przyjazny dla klienta sklep stricte środowiskowy, stąd asortyment - świadomie ograniczony do turystyki i wspinaczki. Bardzo ważny jest bezpośredni kontakt z klientem oraz utrzymanie niewysokich cen - mówi Krzysztof Skrocki. - Czasem sponsorujemy na małą skalę różne przedsięwzięcia - m.in. zawody wspinaczkowe. Organizujemy też złożone z kilku wyjazdów spotkania, pozwalające na kontakt ze wspinaniem i ewentualne dokonanie wyboru...

Na półkach znalazłem spory wybór śpiworów, plecaków Alpinusa (np. Solo 30 za 1,045 mln zł, Woodpecker 90 za 2,850 mln zł), Jany Sportu, Karimora i czeskich. Było w czym wybierać wśród odzieży - poczynając od firmowych kompletów bielizniano-dresowych „Paker style” z polara 100 (bluza z długim rękawem 330 tys. zł, z krótkim rękawem - 250 tys. zł, spodnie 330 tys. zł), przez kurtki polarowe (od 940 tys. do 2,8 mln zł), puchowe

(2-4 mln zł), odzież goretexową Alpinusa (kurtki od 3,5 do 6 mln zł, spodnie 2,350-3,2 mln zł), sympatexowe kurtki Milo (2,135 mln zł), po drobnej konfekcji. Butów niewiele - dominowały Scarpy (np. model Hunza po 2,6 mln zł). Sprzęt wspinaczkowy obejmował podstawowy asortyment (karabinki, kołki, haki, ekspresy, plakiety, trochę dziabek, kaski, chwytaki itp.). Liny to produkty firm Rivory-Joanny, Edelrid i Lanex. Ceny pojedynczych od 1,2 mln (czeskie) do ponad 3 mln zł, a podwójnych od 3,5 do 6 mln zł. Upstrzężone czeskie - Singing Rock i polskie (Petzla tylko na zamówienie). Były kuchenki Epi-gas, śpiwory, karimaty, czołówki itp....

Niewielki dział wydawnictw zawiera aktualne periodyki (także **Taternika**) i kilka najpopularniejszych tytułów książek, podobnie ograniczony zakres mają antykwarjat książki górskiej i komis sprzętu turystycznego.

Sklep Podróżnika - Grójecka 46/50 i Kaliska 8/10 tel. 22-44-56.

Sklep odwiedziłem na krótko przed reorganizacją sprzedaży: do dwóch odległych od siebie o ok. 100 m lokali dojeżdżało urządzone właśnie drugie pomieszczenie na ul. Kaliskiej (w tym samym budynku). Planowany był następujący podział asortymentów: w najbardziej reprezentacyjnym sklepie na Grójeckiej odzież, obuwie i narty, natomiast na Kaliskiej sprzęt (wspinaczkowy i wodny), księgarnia i mała ścianka wspinaczkowa, a w drugiej części wyposażenie biwakowe i plecaki.

Firma zaczynała jako biuro turystyki specjalistycznej w roku 1989, w grudniu 1990 r. otwarty został pierwszy sklep. Obecnie rozrosła się i ma swoje filie w Olsztynie, Krakowie i Bielsku-Białej. Właściciel - Przemysław Chlebicki jest doświadczonym turystą (trekkingi w rejonie Ruwenzori, na Malajach, kajakerstwo - także górskie, narciarstwo turystyczne, przodownik GOT). Sprzedawcy działu sprzętowego ukończyli kursy wspinaczkowe. Duża i „dobrze zlokalizowana” firma - to bogata oferta i szeroki wybór, chociaż trzeba chyba nieco drożej zapłacić.

Dział wspinaczkowy obfituje w sprzęt techniczny takich firm jak Edelrid, Simond, Stuba, Cassin, Petzl, DMM. Dużo było zwłaszcza wszelkiego „żelastwa”, łącznie z jaskiniowym (przyrządy zaciskowe, rapidy itp.), automatami asekuracyjnymi grigi itp. Z interesujących urządzeń zapowiadane są nawet camaloty. Wśród lin mamy do wyboru produkcję Beala, Rivory-Joanny, Edelrida, Mammuta, a dla mniej zasobnych krajowe bezaliny i interpany. Ceny statyków od 21 tys. zł za metr (Bezalina) do 60 tys. zł (Edelrid). Pojedyncze dynamiczne - produkcji zachodniej w granicach 3,150-4 mln zł lub interpany ok. 2 mln, a podwójne po 5-6 mln zł. Upstrzężone w dużym wyborze typów: Edelrida, Petzla, czeskie (Singing Rock), Assecuro i Płonki, kaski Petzla i Edelrida. Różne trzewiki wspinaczkowe: La Sportivy (np. Mythos po 2,280 tys. zł), Scarpy, Boreala (vectory, ninje po 1,410 mln zł, lasery).

W plecakach szeroka gama począwszy od

Alpinusa (np. Solo 30 za 1,095 mln zł, Woodpecker 85 - 2,840 mln zł i in.), Sport Hofera, Jany Sport i Marmota, po Love, Karrimor i Vau-De. Były oczywiście różne fasony kurtek polarowych Alpinusa (od 1,520 mln do 2,870 mln zł) oraz ubrań goreteksowych (kurtki - 3,850-5,150 mln zł, spodnie - 2,520-3,450 mln zł), a także overbuty. Można też liczyć na duży wybór butów trekkingowych Boreala (skórzane po 3,095 mln zł, goreteksowe - 2,750-3,175 mln zł), Scarpy (np. Hunza za 2,735 mln zł), łącznie z tańszymi polskimi obuwiami skózanymi oraz skorupy Koflacha. Do tego sprzęt biwakowy (śpiwory, karimaty, kuchniki itp.).

Istotną ciekawostką stanowiła oferta kompasów i busoli (szwedzkie „Silvy” i szwajcarskie „Recty”). W zależności od potrzeb i zasobności kieszeni wybierać można było wśród kilkunastu chyba modeli w cenach od 100 tys. do 2,1 mln zł. Na zimę zapowiadany jest narciarski sprzęt turystyczny: narty, kilkanaście typów wiązań, foki, kijki teleskopowe.

Specjalnością i atrakcją „Podróżnika” jest wielki dział księgarski (bez konkurencji w Warszawie i nie tylko) oferujący setki pozycji, od literatury górskiej, przez albumy i przewodniki (polskie i obcojęzyczne) po olbrzymi wybór map z całego świata (w tym wydawnictwa francuskie i niemieckie). Jest możliwość sprowadzenia wybranych tytułów na indywidualne zamówienie. Do dostania są aktualne numery czasopism (w tym *Taternika*), a także kasety video o tematyce przyrodniczej oraz kasety z szantami i muzyką studencką.

Firma organizuje krótkie szkolenia wspinaczkowe na bunkrach i w skałkach, natomiast wyjazdy trekkingowe nieco zanikły. Sponsoringi zawodów wspinaczkowych i prowadzi własną działalność wydawniczą, z której najszerzej znane są oczywiście reprintsy „Tatr Wysokich” W.H. Paryskiego.

Stuptul - al. Stanów Zjednoczonych 69-C1, tel. 10-32-33.

Firma prowadzi sprzedaż w 2 małych pomieszczeniach pawilonu niedaleko Ronda Wiatraczna (parter i piwnica). Sklep nie przytacza obfitością towaru, jednak to co jest zostało dobrze wyeksponowane, a kameralna i sympatyczna atmosfera sprzyja lubiącemu spokojnie wybrać klientowi.

Zaczęło się od wystawy fotograficznej i urządzono przy okazji kiermaszu. Kontynuacją stał się sklep otwarty w listopadzie 1993 r. (od lipca br. w obecnej siedzibie). Właściciele - wspólnicy wywodzą się z kręgów harcerskich i są aktywnymi turystami. Wojciech Baranowski przeszedł zimowy kurs survivalowy, Wojciech Gadowski ma za sobą szkolenie skałkowe. Sprzedawcy także dysponują wiedzą fachową.

W ofercie „Stuptuta” spory wybór istniał wśród plecaków - były produkty Alpinusa (np. Solo 30 za 1,160 mln zł, Woodpecker 85 za 2,970 mln zł, itp.), Karrimora, Marmota, Vau-De. Ubrać się można było w polary - kurtki Alpinusa w cenach 1,5-2,9 mln zł oraz alternatywne tańsze modele od 900 tys. zł. Do tego tania odzież przeciwdeszczowa (goreteksów chwilowo zabrakło), sprzęt puchowy - kurtki (2,8-3,5 mln zł), botki, śpiwory oraz różna konfekcja. Wśród asortymentów typowo wspinaczkowych tylko tu znalazłem trzewiki Saltic (1,150 mln zł). Z lin były

lanexy (podwójne po 3,5 mln zł), rivery i edelweissy (pojedyncze od 3,5 do 4,4 mln zł). Upręże polskie (Płonki i Nabrdalika) oraz czeskie (Singing Rock), kaski Ferrino i Salewy. Sprzęt metalowy niezbyt liczny - głównie firm Kong i Lucky. Ciekawostką był sprzęt zaciskowy pierwszej z wymienionych firm wobec powszechnej u nas dominacji Petzla. Kostki i sprzęt lodowy (raki, czekany) obliczone były na mniej zasobną kieszeń - czyli rosyjskie. Trochę wyposażenia biwakowego. Można się też było zaopatrzyć w niektóre wydawnictwa związane z górami.

Sklep sponsorował już zawody wspinaczkowe. W. Baranowski jest także organizatorem traktowanych niekomercyjnie wyjazdów dla młodzieży - skałkowych i górskich (w tym także za granicę).

W.I.P.-Sport - Mariensztat 21a.

Nowo otwarty (24 IX 1994 r.) sklep na rynku mariensztackim mieści się dokładnie w miejscu zajmowanym do niedawna przez firmę KEN i ma być kontynuacją tradycji w tym samym, niezbyt obszernym, lecz eleganckim lokalu (wystrój i urządzenie pozostały nie zmienione).

Z dwójki współników za dział alpinistyczny odpowiada Piotr Poterała (były pracownik KEN-a). Rowery górskie, narty i sprzęt kempingowy są domeną drugiego z właścicieli - Włodzimierza Borka. Firma współpracuje z Alpinusem, zakopiańskim Alpin Sportem i Himal-Sportem. Specjalnością ma być alpinizm, rowery, narty i odzież sportowa. Jako jedyni w Warszawie wprowadzili kartę stałego klienta (5% zniżki, po uzbieraniu zakupów na kwotę 5 mln zł).

W chwili odwiedzin sklep był właściwie jeszcze w fazie rozruchu i oczekiwania na dostawy, stąd niewielki wówczas zasób sprzętu alpinistycznego (znacznie lepiej prezentowały się już asortymenty odzieżowe). Były dziabki Grivela, trochę karabinów i haków. Zapowiadany jest duży wybór tanich produktów zdobywającej rynek firmy Lucky, karabiniki i kostki Cassina, trzewiki wspinaczkowe La Sportivy i Boreala. Z upręży były na razie Campa i Singing Rock, mają pojawić się jeszcze Petzla, Edelrida i Assecuro. Wśród lin znalazłem edelridy (pojedyncze 45 m za 3,1 mln zł, bliźniacze - „Perfect-Duo dry” - 5,9 mln zł, statyczne po 53 tys. zł za metr) oraz jako alternatywę interpany (dynamiczny 11 mm: 39 tys. zł za metr, statyczny 37,5 tys. zł 1 m). Kaski Cassina i Edelrida (1,1-1,6 mln zł). Buty trekkingowe reprezentowało kilka typów Salomonów i Trezety. Kurtki z polara można było zakupić w cenach 950 tys.-1,3 mln zł, a szyte przez Alpinusa od 1,790 do 2,2 mln zł. Wśród goreteksów były wyroby firm Mellos i Alpinus (kurtki 4,1-5,150 mln zł, spodnie - 2,690-3,5 mln zł). Kurtki puchowe w cenach 2,9-3,6 mln zł. Sporo było bielizny przeciwpoślizgowej (Alpinus, Maser). Plecak można było wybierać spośród produkcji Alpinusa (np. Solo 30 - 1,190 mln zł, czy Woodpecker 85 - 3,090 mln zł), Karrimora, Jany Sport i Vau-De. Ofertę uzupełniał sprzęt biwakowy - śpiwory puchowe (Yeti: 2,5-4,9 mln zł) i sztuczne (Northlanda - od 990 tys. do 1,470 mln zł), karimaty, namioty. Mają być również czasopisma i książki górskie (te ostatnie ukierunkowane tematycznie na skałki i Tatry).

Rafał Kardaś



Sto lat temu, latem 1894 roku rozpoczęło realizację największego w historii Tatr zamierzenia malarskiego, jakim była słynna „Panorama z Miedzianego” (2233 m). Za poradą Walerego Eljasza i Wojciecha Gersona grupa malarzy chodziła co dzień na ten szczyt i wykonywała szkice („kartony”) oraz zdjęcia topograficzne. Super obraz został namalowany w Monachium i w roku 1896 wystawiony w specjalnej rotundzie na warszawskich Dynasach. Miał wymiary 115x16 m czyli 1840 m² powierzchni i był nie tylko największy z malowideł przedstawiających Tatry, ale i największą z polskich – modnych wówczas – panoram. Książkowe objaśnienie do obrazu napisał Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Niestety, panorama została po paru latach pocięta i bezpowrotnie zniszczona. Jej obszerną historię zamieścił w „Taterniku” 2/1968 Adam Chowański. Nasza fotografia obejmuje 50 stopniowy wschodni i południowo-wschodni wycinek widnokregu.

Józef Nyka Fot. Jan Nyka

Jacek Kmin

Staż instruktorski w ENSA

Latem 1993 roku wraz z Piotrem Panufnikiem wziąłem udział w organizowanym przez Francuską Federację Alpinizmu międzynarodowym kursie dla kandydatów na stopień Organizatora Alpinizmu. Kurs odbył się w Chamonix, w siedzibie ENSA. Kierownikiem kursu był Patrick Cordier, zajęcia prowadzili instruktorzy ENSA, a uczestnikami byli alpinści z Francji, Izraela, Słowenii, Hiszpanii, Rumunii i Polski.

Naszym instruktorem był Denis Pivot, specjalista od ski-alpinizmu i wspinaczki lodowej. Ponieważ obydwa posiadamy wyższe stopnie instruktorskie PZA, program kursu nie poszerzyłby naszej wiedzy i doświadczenia, gdyby nie fakt, że Denis okazał się rzeczywiście specjalistą od lodu.

Zajęcia szkolne na stromym stoku śnieżnym i na zboczu lodowym zwróciły nam uwagę na fakt, że wiedza o asekuracji i technice poruszania się w tego rodzaju terenie jest wśród polskich wspinaczy (także wśród instruktorów) znikoma. Na przykład, prawie każdy wychowany w Tatrach wspinacz zadawał sobie nieraz pytanie: co zrobić ze zwojami liny niesionymi w ręce podczas poruszania się zespołu z lotną asekuracją w ścianie lub stromym zboczu lodowym. Odpowiedź jest następująca:

Zespół stosujący lotną asekurację podczas pokonywania stromego zbocza lodowego porusza się wznoszącymi trawesami (układ stóp jest taki, aby używać wszystkich zębów raków z wyjątkiem

zębów atakujących). Partner idący jako pierwszy idzie nieco poniżej drugiego. Lina skrócona jest do ok. 6 metrów z których 4 m zwinięte w zwoje trzyma drugi wspinacz w dłoni odstokowej. W przypadku odpadnięcia pierwszego (niższego) ze wspinaczy, zwoje liny w dłoni służą do pseudodynamicznej asekuracji osiągananej przez w miarę możliwości powolne wypuszczanie liny z dłoni. Oczywiście jednocześnie asekurujący musi ręką przystokową wbić dziób czekana w lód i docisnąć czekana ciężarem całego ciała. W przypadku odpadnięcia drugiego (wyżej idącego) wspinacza sprawa jest o tyle prostsza, że jedyną szansą dla zespołu jest zderzenie obu partnerów i pewna pozycja pierwszego (niższego) z nich. Łatwo zauważyć, że miejsce bardziej doświadczonego wspinacza jest lekko z tyłu i trochę powyżej partnera.

Oprócz zagadnień podobnych do wyżej opisanego naszą szczególną uwagę zwrócił sposób pracy francuskich instruktorów. Instruktor ENSA podczas zajęć w terenie demonstruje i wykonuje wszystkie ćwiczenia, które mają powtórzyć jego podopieczni (nawet jeżeli jest to wyciąganie 80-kg człowieka przy pomocy flasencugu, gotów jest zademonstrować to tyle razy, aż wszyscy będą potrafili powtórzyć). Podobnie jak w wielu innych dziedzinach życia, również w alpinizmie istnieje spora różnica pomiędzy traktowaniem swojej pracy przez polskiego i francuskiego profesjonalistę.

W czasie kursu przeszliśmy sześć interesujących dróg skalnych mikstowych. Najprzyjemniejszym aspektem każdej wspinaczki był powrót do hotelowego pokoju z ciepłym prysznicem. Kurs zakończyliśmy uzyskaniem stopni Międzynarodowego Organizatora Alpinizmu II Stopnia. Tytuł ten nie posiada niestety odpowiednika w nazewnictwie PZA.

Leoganger Steinberge '94

Tegoroczna wyprawa zorganizowana została jak zwykle przez Krakowski Klub Taternictwa Jaskiniowego, skład miała jednak raczej ogólnopolski. Działaliśmy w dniach 3-28 sierpnia 1994 r. zespołem: Krzysztof Bańbura (Speleoklub Częstochowa), Andrzej Ciszewski (kierownik), Marcin Czart, Ewa i Stanisław Kotarbowie, Jan Kućmierz (wszyscy KKTJ), Wojciech Małolepszy (Speleoklub Częstochowa), Henryk Nowacki (KKTJ), Krzysztof Piksa (AKG Kraków), Magda i Piotr Słupiński (STJ KW Warszawa), Witold Sobala i Ewa Wójcik (KKTJ). Zainteresowanie skupiono na dwóch obiektach, dających perspektywę na spektakularne rozbudowanie systemu Lamprechtsofen do rekordowej w świecie głębokości. Na wstępie wyprawy zainstalowano więc w obu z nich biwaki: w PL 2 (-450 m w 1993 r.) na głębokości -400 m, a w Vogelschacht (-762 m) na -500 m.

Vogelschacht.

Eksplorację podjęto tam, gdzie w zeszłym roku ją zakończono. Trudna i niebezpieczna wspinaczka nad dnem 80-metrowej studni doprowadziła do bardzo obszernego okna z wielkim ciągiem powietrza. Dalej wiedzie na północ szczelina, na której rozwinięte są interesujące korytarze. Eksplorowane partie to w większości spore galerie przecinane progami i studniami, o ścianach pokrytych bardzo grubą warstwą błota, która w decydujący sposób utrudniała, a nawet uniemożliwiała zdobywanie nowego terenu. W tej sytuacji eksploracja wymagała zaangażowania dużej ilości sprzętu do poręczowania. Dotarto w końcu do sali kilkudziesięciometrowej szerokości, z wcinającymi się w dno nie zbadanymi studniami o głębokościach ok. 80-100 m. Z sali tej bierze początek zabłocona galeria, którą zdołano poznać na odcinku ok. 70 m, przerywając eksplorację w związku z zakończeniem wyprawy. W wyniku tych odkryć (łącznie ok. 600 m) najdalszy punkt jaskini „przesunął” się ok. 270 m na północ w stosunku do osiągnięć zeszłorocznych, co zbliża na odległość ok. 50 m w poziomie i ok. 80 m w pionie do najdalszego miejsca osiągniętego w Lamprechtsofen w rejonie zwanym Fortuna Geschmack.

PL 2.

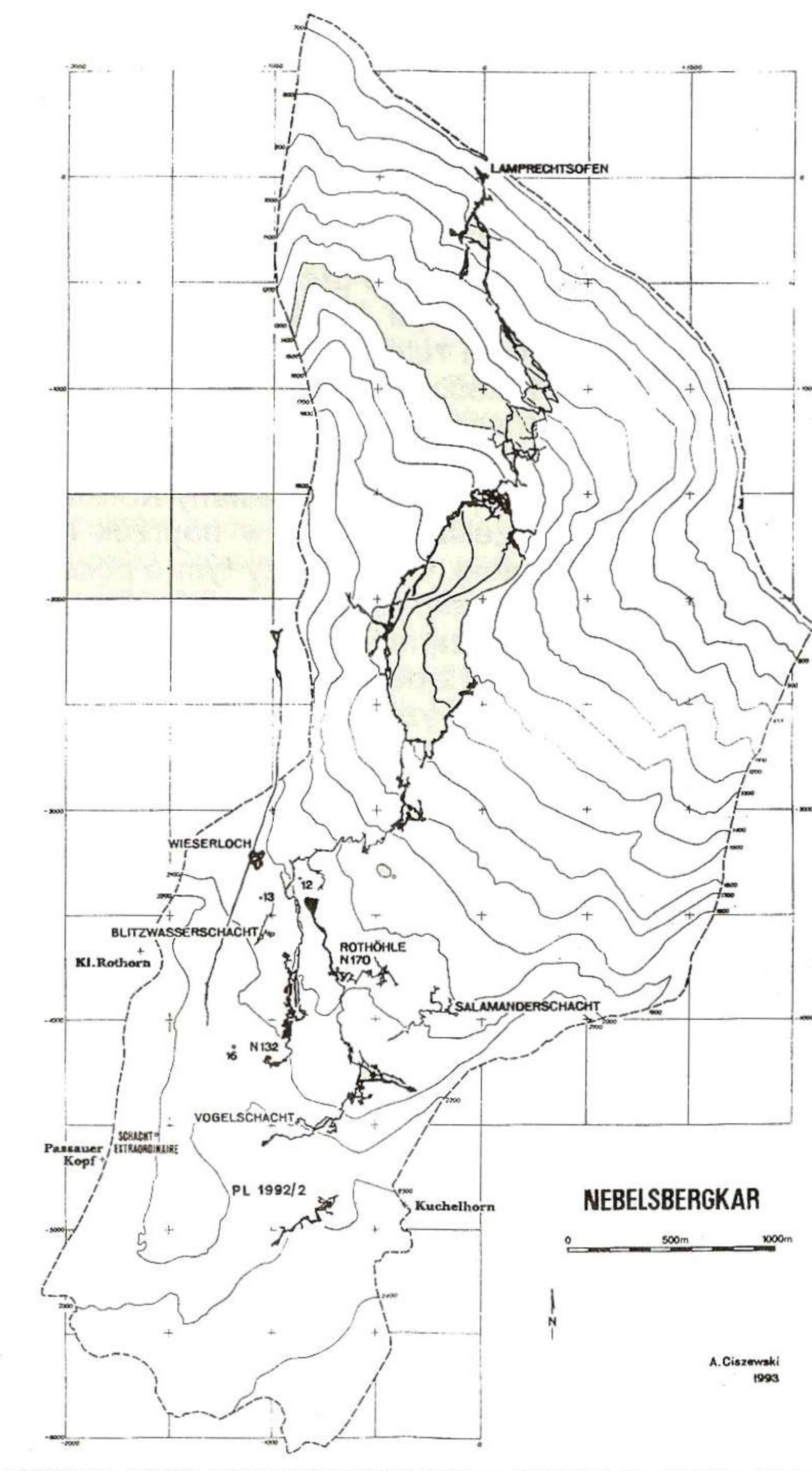
Działalność wyprawy koncentrowała się w starych galeriach odkrytych w roku ubiegłym. Celem było wykonanie ich szczegółowej dokumentacji oraz eksploracja przecinających je młodszych ciągów. W sumie zaatakowano 6 pionowo rozwiniętych odgałęzień, starając się ustalić, które z nich stwarzają najbardziej realną perspektywę na połączenie z Vogelschacht. Wytypowano dwa ciągi wodne z silnym przewiewem, kierujące się na północ. Ze względu na znaczną odległość, jaka została do pokonania (ok. 400-500 m), oraz trudności terenowe, należy spodziewać się jeszcze sporych problemów na drodze do połączenia. W trakcie wyprawy w PL 2 odkryto ok. 600-800 m korytarzy, schodząc na podobną do zeszłorocznej głębokość (-457 m).

Eksploracja w karze.

Równolegle do zmagania z dwoma głębokimi systemami prowadzono poszukiwania w górnej części Nebelsbergkaru, w celu wytypowania jaskiń do przyszłej eksploracji. W związku z bardzo małą ilością śniegu wiele obiektów było w tym roku dostępnych. Okazało się jednak, że większość z nich kończy się niedostępnymi szczelinami.

Perspektywy.

Dołączenie Vogelschacht do systemu Lamprechtsofen dałoby system o głębokości 1535 m (aktualnie zapewniając drugą pozycję na liście najgłębszych), a PL 2 - rekord świata liczący 1614 m! Takie połączenia podniosłyby oczywiście znacznie trudności całego systemu - wystarczy dodać, że eksplorowany ostatnio ciąg Vogelschacht wymaga użycia ok. 2500 m lin (a największy jaskiniowy trawers świata do łatwych i w dzisiejszej postaci nie należy).



„BETLEENSA”

Nie tylko piękna pogoda sprawiła, że lato szkoleniowe 1994 roku można zaliczyć do udanych i z wielu względów interesujących. Ten sezon był ciekawy dlatego, że w pełni uwidoczniły się w nim wyniki filozofii wspinania szkoleniowego lansowanego od kilku lat w Centralnym Ośrodku Szkolenia Polskiego Związku Alpinizmu „Betlejemka”. Wzrosła intensywność wspinania. Normą w tym sezonie było około 40 godzin przewodnikowych, a w pierwszym turnusie niektóre zespoły mogły się poszczycić wynikiem 50-godzinowym. Przy tym nie chodzi tu o „zaliczanie dróg” i wyjści w liczbie wychodzonych godzin. Każdy dzień był zaprogramowany zarówno co do pokonywanych trudności, ich rodzaju, jak i sytuacji, z których kursanci mogli czerpać naukę i doświadczenie. Przykładem niech będzie Grań Kościelców. Kiedyś robiło się ją od Mylnej Przełęczy i to był koniec dnia. Tego lata, jeśli warunki pozwalały, po przejściu drogi WHP 100, czyli wschodniego żebra Zadniego Kościelca schodzimy granią na Młyną Przełęcz, co uczy nowych zachowań i jest zupełnie inne od wspinaczki do góry. Potem można zrobić jeszcze drogę Surdela na zachodniej ścianie Zadniego Kościelca. Innym wariantem w tym samym rejonie jest wyjście Załupą „H” na taras pod Kościelcową Przełęczą, potem drogą Gnojka na Kościelec, zejście (lub zjazd) granią na Kościelcową Przełęcz i trawers zachodni pod kopułą szczytową wschodniej ściany Kościelca do ścieżki. Przy przejściu ściany w poprzek trwa nauka asekuracji lotnej. Chodzi przy tym o pokazanie, że istnieją w Tatrach formacje, gdzie przy pozornej niedostępności są możliwości łatwego przejścia. Takie kombinacje z pewnością ułatwią później samodzielny pobyt w wyższych górach. Temu samemu służą wyjścia do basenu Morskiego Oka i na Słowację. Dzięki samochodowi terenowemu można wyjazd do Morskiego Oka rozegrać w jeden dzień. Trzeba tylko wcześniej wstać i można wrócić wieczorem. Od kilku lat chodzimy na Słowację i mamy wypracowanych kilka szkoleniowych tras. Do najciekawszych należy tu wariant wymyślony przez Jerzego Pepoła. Pierwszego dnia Dolina Złomisk i wspinaczki w jej rejonie. Potem przejście przez Wschodnią Rumanową Przełęcz na Galerię Gankową, zejście do Doliny Ciężkiej, a następnie powrót Białą Wodą. Kursanci mają z takiej wycieczki niezapomniane wrażenia.

W tych wyjściach bardzo cenna jest rola starszych instruktorów dysponujących wieloletnim doświadczeniem, takich jak: Bogdan Jankowski czy Andrzej Paulo. Podobnie wysokogórskie oddziaływanie na kursantów mają zimowe biwaki na graniach lub w jamach śnieżnych, ale to inny temat. Cała ta „nowa filozofia” wspinania prowadzi do tego, że można się w COS „Betlejemka” wiele

nauczyć, a czas na trzytygodniowym turnusie jest zapełniony i dobrze wykorzystany.

Słyszymy czasem zarzuty, że COS jest za trudny, że niebezpieczny (tu mówi się o Słowacji), że jest drogo. Poziom szkolenia trzeba podnosić, bo kursy skałkowe są na coraz wyższym poziomie i wychodzą z nich ludzie zazwyczaj dobrze przygotowani do dalszego szkolenia. „Betlejemka” musi być dla nich atrakcyjna, nie mogą się tu nudzić. Z tym, że zaczyna się wspinanie od dróg łat-



Bogumił Słama przed „Betlejemką”

Fot. A. Kłos

wych. Za to czasem wychodzimy w nienajlepszą pogodę, bo np. burza należy do normalnego repertuaru tatrzańskiej aury, a lepiej jeśli kursant zobaczy ją po raz pierwszy w towarzystwie instruktora.

„Betlejemka” jest ciasna. Moglibyśmy szkolić z większym komfortem, ale nie mamy sali wykładowej, brak też pomieszczeń na pomoce dydaktyczne, takie jak biblioteka, zestawy slajdów, zdjęć itp.

Mieliśmy w tym sezonie komplety kursantów. Jeśli było ich mniej, to dlatego, że ktoś umówiony nie dojechał. W pierwszym turnusie szkoliliśmy 24 osoby, w drugim 21, w trzecim 27. W tym roku przebywało tu więcej ludzi niż w latach ubiegłych. Można mówić o kolejnym wyżu lub renesansie wspinania. Dochodzi jeszcze do tego ponad 50 osób szkolonych prywatnie i egzaminowanych w COS.

Po wielu upomnieniach, jakie miały miejsce w rozmowach z instruktorami działającymi prywatnie, można powiedzieć, że dziś zdecydowana większość szkoli na dobrym poziomie. Negatywne zjawiska są rzadkie, dlatego rzucające się w oczy. Poza jednostkowymi wyjątkami instruktorzy prywatni szkolą podobnie jak w „Betlejemce”, z którą często są związani. Wzorują się na COS-ie i na jego programie.

Jedną z legend związanych z prywatnym szkoleniem są egzaminy na kartę taternika. Od lat wszyscy kursanci spoza COS muszą ją tutaj здаwać. Ideą egzaminu jest, że staje się on ostatnią okazją do wyłapania błędów. Nie chodzi o to, żeby komuś udowodnić brak wiedzy. Spośród tej piędziesiątki od instruktorów prywatnych w tym sezonie tylko 4 osoby mają jakieś poprawki. Podobne proporcje występują na COS.

Pogląd, że kursanci od prywatnych instruktorów w COS są dyskryminowani bierze się z małości ludzkiej. Ktoś, kto sam by tak postępował, gotów jest innych podejrzewać o nieetyczne praktyki. Przed paru laty częściście zdarzało się „prywatni” gorzej przygotowaniu. Po tych nieciekawych przypadkach w COS protokołuje się odpowiedzi kursantów od prywatnych instruktorów. Żeby został dowód na to czego ewentualnie nie umieli. Czasami egzaminy trwają długo. Tak się dzieje, kiedy zdający nie jest przygotowany i wiele trzeba mu wyjaśnić. Każdemu przysługuje też prawo do egzaminu komisyjnego. Profesorem najlepszych uczelni mają swoje słabości. Może się to zdarzyć i instruktorom alpinizmu. W okresie ostatnich kilku lat były dwa przypadki, kiedy na egzaminie komisyjnym przyznano rację kursantowi. Ale zazwyczaj problemy są tylko z niedouczoneymi. Kursanci też są różni. Zdarzają się typy: beczelny mądrala, najmańdrzejszy z całej wsi, pokorny - zażawione oko itp. Poza topografią, której trudno się nauczyć w jeden dzień, możliwe są poprawki na miejscu z wszystkich działów technicznych. Czasem bywają pretensje o pytania. Np. zawodowy geolog zapyta o rodzaj skały w jakiejś odległej dolinie. Takie wiadomości nie stanowią o wyniku. Po prostu przyjemniej przebiega rozmowa, jeśli ktoś dużo wie. Niektórzy kwestionują potrzebę istnienia egzaminów uważając, że szkolący w górach instruktor sam potrafi wystarczająco ocenić swego podopiecznego. Niestety, istnieje również ograniczone zaufanie do instruktorów. Nie stanowimy monolitu i poziom zawodowy nie wszyscy prezentują jednakowo.

Z każdą górską działalnością wiąże się ryzyko wypadku. Również podczas wspinaczek szkoleniowych istnieje takie niebezpieczeństwo, z czym

trzeba się liczyć. Ostatniego lata mieliśmy dwa wypadki. Jeden, to skręcenie nogi na turystycznym szlaku, co może zawsze się zdarzyć. Niestety, skutki tego skręcenia były poważne. Drugi wypadek był groźniejszy. Zdarzył się podczas treningowej wspinaczki techniką hakową. Instruktor stażysta przeprowadził odcinek A2, pokazał co należy zrobić, choć nie bez pewnych potknięć dydaktycznych. Potem poszedł kursant, niestety bez kasku, co było poważnym błędem w pracy instruktora. Kursant spadł na ziemię, wyrwając trzy haki i odnosząc obrażenia, z których leczył się w szpitalu. Instruktor został dotkliwie ukarany. Wypadki w COS mogą się zdarzyć i bywały zawsze, choć nie takie groźne. Czasem samo szkolenie stwarza sytuacje nie w 100% bezpieczne, ale takie są góry.

Niezależnie od tych przykrych wydarzeń, wielu młodych ludzi ukończyło kurs tatrzański na doskonałym poziomie. Zmienił się przy tym model życia w „Betlejemce”, co wiąże się ze zmianami w kraju. Nie trzeba już wnosić jednorazowo żywności zakupionej na trzy tygodnie, bo wszystko co potrzeba można kupić w Zakopanem. Ludzie inaczej jedzą, inaczej gotują. Są lepiej ubrani co sprawili nieliczni jeszcze u nas producenci sprzętu i kilka sklepów alpinistycznych. Przy narzekaniu na ogólną „nędzę” dobre na ogół wyposażenie kursantów to ciekawe zjawisko. Na pewno nie było na trzech letnich turnusach ludzi głodujących, a wielu mogło sobie pozwolić i pozwalało na codzienne piwo w „Murowańcu”. Niektórzy nie mieli potem na kartę taternika (50 tys. zł) może dlatego, że pili piwo?

Ceny za kurs w „Betlejemce” uznano latem 1994 roku za niskie. Mieli o to pretensje, między innymi prywatnie szkolący instruktorzy. Chyba rzeczywiście było za tanio, choć to oceny względne. W roku przyszłym będzie drożej. „Betlejemka” musi zarobić na nowy sprzęt, bo dawniej zgromadzone zapasy się kurczą, a dotacje są niewystarczające. Dotychczasowe opłaty za amortyzację sprzętu wyniosły symboliczne 100 tys. złotych. Dookoła wszystko drożeje, instruktorzy też uważają, że zarabiają trochę za mało. TPN podnosi opłaty, tak że kurs w roku przyszłym musi być znacznie droższy. Przy czym będziemy się starali zminimalizować opłaty za turnusy zimowe, aby propagować model taternicki, czy jak kto woli alpinistyczny. W oparciu o ścianki czy skałki nie da się utrzymać ciągu pokoleń, który kiedyś niósł sukcesy w najwyższych górach świata.

Szkolenie w Tatrach w oparciu o „Betlejemkę” jest dla wielu młodych ludzi niezapomnianym przeżyciem. Można je uczynić jeszcze ciekawszym. Muszą być tylko pieniądze na sprzęt, instruktorzy na poziomie i kursanci z chęcią do wspinania. Wtedy wiele się da osiągnąć. Latem roku 1994 te ostatnie warunki były spełnione prawie zawsze.

Chyba nigdy jeszcze progów „Betlejemki” nie opuszczali młodzi ludzie tak dobrze przygotowani do dalszej działalności górskiej, jak latem 1994 roku.

Wartości dodatkowe

Strach przed lataniem

Wiele wskazuje na to, że za najważniejszy problem ideologiczny w Tatrach uchodzi spór o spitowanie. Dyskutanci najczęściej zajmują stanowiska biegunowo sobie przeciwne i z reguły nawet nie próbują wysłuchać do końca argumentów swoich adwersarzy. Do fanatyzmu wprawdzie jest jeszcze dość daleko, ale inwetywy, jakie się przy okazji owych debat słyszy, wskazują raczej na „wysoką temperaturę uczuć”. Wywody dyskutantów można streścić w gruncie rzeczy w paru słowach: zwolennicy twierdzą, że spitowanie oznacza bezpieczeństwo oraz progres sportowy, natomiast przeciwnicy utrzymują, że każdy spłót godzi w przyrodę oraz odbiera wspinaczkę z przygody i smaku poznawania nieznanego. Uznając argumenty obu stron za trafne (choć nie do końca rzecz jasna), nie pozostaje chyba nic innego jak poszukać tzw. trzeciej drogi. Zanim to jednak nastąpi mam zamiar stoczyć trzyrundowy pojedynek na gołe pięści z przeciwnikami spitowania. Sam jestem wprawdzie tylko umiarkowanym zwolennikiem osadzania sztucznych punktów asekuracyjnych, ale jeśli zważyć, że w ciągu kilkudziesięciu lat przebyłem długą drogę od negacji do akceptacji, to można się domyślać, że prawa ewolucji odkryte przez Darwina działają powszechnie i jest tylko kwestią czasu kiedy dostrzeżemy, że dotyczą one także nas samych.

Runda pierwsza — ekologia. Jest rzeczą bezsporną, że każde wkroczenie człowieka w świat gór zmienia stan zastany. Noga potracająca kamień zmienia konfigurację piargu, a dłoń sięgająca po chwyt zostawia na nim warstewkę potu. Nie będziemy jednak rozdzierać naszych polarów z powodu rzucanego beżmyślnie papierka, skoro wiatry potrafią przywiać nad Tatry saharyjskie piaski, nie mówiąc już o innych świństwach ze znacznie bliższej okolicy. Pomówmy o żelazie. Wbijanie haków, nawet jak najbardziej fachowe, po jakimś czasie demoluje szczyt tak, że musimy je prać w inną szczylinę, która po jakimś czasie musi podzielić los tej pierwszej. Nawet pozornie elegancka i bezszmerowa w użyciu kostka niszczy skałę jeśli tylko odpowiednio długo grzebać dłutem przy jej wyjmowaniu. Taktownie nie rozwodzę się na temat skutków odpadnięć. Widziałem już bloczyska wielkości budki telefonicznej odwalone przez owe „ekologiczne” kostki. Spitowanie jest bez wątpienia najbardziej brutalną ingerencją w świat skały (warkot, dziura i pył skalny), ale jest to ingerencja **jednorazowa!** Dobrze osadzony spłót ze stali nierdzewnej wytrzyma zapewne dłużej niż nafaszerowane zardzewiałymi od nowości prętami zbrojeniowymi bloki mieszkalne, które ma za swoje „rezydencje” połowa mieszkańców miast polskich.

Runda druga — przygodowa. Rozważmy

pokrótce na czym polega fenomen przeżywania przygód. Otóż przygodą może stać się każde przedsięwzięcie, w którym na skutek działania czasami trudnych do przewidzenia zbiegów okoliczności pojawiają się przeszkody stawiające pod znakiem zapytania jego pomyślne zakończenie. W taternictwie za synonim powodzenia podjętej akcji górskiej może uchodzić tzw. ujęcie z życiem. Wszystko co się dzieje w tzw. międzyczasie to są tylko perypetie. Proszę więc mi nie wmawiać, że ktoś przedkłada stare, kiwając się haki nad spity, bo lubi się trochę pobać. Po pierwsze, strach tylko po części wynika z wielkości zagrożenia. Niektórzy tak bardzo boją się wszystkiego, że tylko sporadycznie wychodzą ze schroniska. Po drugie, można się całkiem porządnie pobać na drogach wyposażonych w dziesiątki spłótów, wystarczy jak się pojawi realna groźba odpadnięcia. Po trzecie wreszcie, nikt przy zdrowych zmysłach, nawet jeśli ceni sobie nadzwyczajne emocje, nie będzie sobie odbierał szans na przyżycie, jeżeli tylko ma okazję takie szanse sobie powiększyć. Myśl tę dedykuję także tym wszystkim, którzy uważają, że wspinanie bez kasków jest przejawem wysublimowanej filozofii życiowej. Wracając jednak do wątku, to miłośników prawdziwych przygód zapraszam do prowadzenia nowych dróg zimą. Można się i pobać, a i efekt niepewny.

Runda trzecia — edukacyjna. Przeciwnicy spitowania utrzymują, że taki kursant dajmy na to, jak się tylko beżmyślnie przepina przez spity, to potem nigdy w życiu nie założy poprawnego stanowiska. Jako osobnik posiadający pewien pogląd na szkolenie, mogą z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że widziałem paru wspinaczy wychowanych w epoce przedspitowej, którzy po dziś dzień nie nauczyli się elementarnych zasad asekuracji. Bo efektywność zdobywania wiedzy jedynie po części wynika z jakości pomocy naukowych i kwalifikacji nauczyciela. Tak naprawdę, to ludzi możemy w tym względzie podzielić tylko na samouków i na nieuków. Natomiast z tego co widzę i słyszę, to właśnie między innymi zastosowanie spłótów na niektórych drogach pozwoliło na zintensyfikowanie szkolenia i robienie na kursie kilkudziesięciu wyciągów więcej niż to drzewiej bywało. Niedowiarkom podaję fakty. Kiedy kończyłem kurs w roku pańskim 1970, to udało mi się zbierać 8 dróg i 14 godzin liczonych według przewodnika WHP, natomiast dzisiaj kursanci robią po 15 i więcej dróg, a przekroczenie 40 godzin przewodnikowych nie należy wcale do rzadkości. O klasie dróg czy liczbie wykonanych zjazdów nawet nie wspominać...

Jest jeszcze jedna sprawa, jak sądzę nie doceniana i to przez ogół dyskutantów. Zapomina się mianowicie o naturze ludzkiej, w której jest coś takiego, że wszyscy wolimy żeby było łatwiej, wygodniej i przyjemniej. Dlatego wolimy fotografować Nikonem niż Smianą, jeździć Toyotą, a nie Syrenką

oraz myć się w ciepłej wodzie. Kto tego nie rozumie, ten stawia tamę obok płynącej rzeki ...

Zastanówmy się teraz czy możliwe jest znalezienie rozwiązania satysfakcjonującego obydwie strony. Osiągnięcie kompromisu może być trudne bowiem przeciwnicy spitowania będą musieli pogodzić się z faktem osadzania spitów. Zupełnie jak w tym dowcipie: Mówi pajak do muchy - „Porozmawiajmy o interesach”. Myślę, że mamy tutaj do czynienia z dość trafną analogią. Jak się wydaje zwolennicy spitowania mają liczebną przewagę (wspinacze o ambicjach sportowych, wspinacze normalni i normalni inaczej, instruktorzy oraz matki dzieciom) i co więcej, wspomniana przewaga będzie się jeszcze powiększać, bo purystów jak łatwo zauważyć może tylko ubywać. Procesy demograficzne przyspieszą jeszcze dodatkowo pewna liczba wypadków spowodowanych wyrwaniem porzewiałych haków...

Teraz trochę poważniej. Stawiam pod publiczną dyskusję następującą propozycję:

- ❶ autorzy nowo prowadzonych dróg mają swobodne prawo wyboru środków zastosowanych do asekuracji
- ❷ jeżeli droga została pokonana bez użycia spitów, to autorzy drogi mogą zastrzec sobie prawo sprzeciwu wobec prób osadzenia sztucz-

nych punktów asekuracyjnych przez ich następców (co można zrobić np. publikując opis w Tatniku)

- ❸ naruszenie takiego sprzeciwu będzie uważane za czyn nieetyczny
- ❹ komisje PZA, sportowa i szkoleniowa mają prawo wydania zalecenia ospitowania dróg, jeśli podyktowane to będzie względami bezpieczeństwa
- ❺ chętni do ospitowania dróg, których pierwsi zdobywcy jeszcze żyją, mają obowiązek uzyskania od nich zgody
- ❻ spitować można wyłącznie za pomocą środków i technologii zaakceptowanych przez PZA.

Dziewkan

PS. Spotkałem się z zarzutami, że pisząc w poprzednim numerze Tatnika (1/94) o przypadku p.p. Marciszów powinienem podpisać tekst imieniem i nazwiskiem. To prawda i wiele w tym racji. Wolałem jednak skorzystać z prawa felietonisty i „skryć się” za pseudonimem, gdyż nie chcę, aby moje prywatne poglądy były utożsamiane z oficjalnym stanowiskiem Zarządu PZA. Podobnie jest w przypadku felietonu o spitowaniu. Zaproponowany „kodeks” jest wyłącznie moim wymysłem. D.

Z OSTATNIEJ CHWILI

Andrzej Marcisz został upomniany przez Sąd Koleżeński PZA za to, że nie wycofał się z działalności w środowisku wspinaczkowym.

Drogi wspinaczu

Wyobraź sobie, że oto stoisz pod swoją wymarzoną Wielką Ścianą, do której pokonania długo się przygotowywałeś. Niestrudzenie szlifowałeś formę, ale wiesz dobrze, że na taką drogę to nie wystarczy. Studiowałeś zatem także jej opis, zapoznawałeś się wnikliwie z topografią ściany, zadawałeś sobie pytania, jak by tu ewentualnie zjechać z różnych miejsc, a może bardziej by się opłacało z drogi wytrawersować...

Wszystko to masz w małym palcu, znasz też trzy warianty zejścia ze szczytu, bo jak wiesz jest ono całkiem niebanalne, a Ty na pewno będziesz porządnie zmachany. Długo myślałeś też nad optymalnym zestawem sprzętu do wspinania, nad właściwą ilością pętli, ekspresów, kostek, friendów, camlock'ów i przeróżnych haków. Zdajesz sobie sprawę, że nie może tego być za dużo, bo wtedy ciężar Cię przywali i dysząc ciężko możesz nie osiągnąć szczytu, ale też nie możesz zabrać za mało, bo w końcu lubisz dobrze się zaasekurować. No i jeszcze jeden przeciwnik do pokonania: Twoje własne wątpliwości i obawy, że to dla Ciebie za trudne, że możesz nie dać rady, że może stać się coś złego. Ale teraz wszystko to masz już za sobą, wola walki zwyciężyła, pogoda świetna, humor znakomity, napierasz, przed Tobą Wielka Przygoda...

A teraz, Drogi Wspinaczu, Wyobraź sobie sytuację nieco inną. Oto w innym czasie stoisz pod tą samą ścianą, patrzysz w górę i od razu spostrze-

gasz rządę pięknie połyskujących w słońcu plaketek, na stanowiskach zgrabnie spiętych łańcuchami w pęczki. To nic, że czasami tkwią tuż obok świetnych rys, za to jest bezpiecznie w 100% i nie trzeba taszczyć z sobą tych zwisających i dyndających ciężarów. No i żadnych problemów z orientacją i wyborem drogi, zasada jest prosta: od spita do spita. Czasem trudno wypatrzyć następnego, bo słońce daje prosto z góry, ale na to się przygotowałeś, w plecaku masz gustowne i stosowne czarne okulary. No, a oprócz nich zabrałeś też 16 ekspresów, dokładnie tak, jak piszą w przewodniku, ani jednego więcej, bo po co się niepotrzebnie męczyć.

Pogoda świetna, słońce świeci, forma znakomita, wątpliwości i obaw też właściwie nie masz, bo jakbyś aby nie dał rady, to zawsze możesz zjechać z łańcuchów, po to w końcu są. Problemów żadnych... ale, ale, bo oto poczułeś krótkotrwałe parcie i chętnie byś coś oddał naturze, a to nie takie proste, przed Tobą w koleje pod ścianę stoisz ześ osób, towarzystwo mieszane i trochę Ci głupio tak tuż obok, ale teren odkryty i do lasu daleko, a wyjdiesz z kolejką to miejsce przepadnie, bo od dołu ciągną następni. No i co tu robić - myślisz ze złością. A może by tak w nocy zjechać i powykrecać te wszystkie tkwiące w ścianie błyskotki, a dziurki zacementować - wpadasz na odkrywczy pomysł. Tłumy spod ściany zniknęłyby natychmiast, przecież w końcu nigdzie nie jest napisane, że góry są dla wszystkich, może tylko dla wybrańców potrafiających się w nich poruszać bez tych wszystkich blaszek - myślisz i od razu humor Ci się poprawia.

Jacek Fluder

Centralny Ośrodek Szkolenia Polskiego Związku Alpinizmu na Hali Gąsienicowej „Betlejemka”

oferuje gruntowne szkolenie taternickie latem i zimą:

- licencjonowani instruktorzy PZA,
- najlepszy sprzęt renomowanych firm zachodnich: Edelweiss, Beal, Salewa, Charlet, Camp, Petzl,
- wykłady i prelekcje ilustrowane przeźroczami,
- bogaty księgozbiór,
- własny samochód terenowy,
- wspinaczki w rejonie Morskiego Oka i na Słowacji,
- bezpieczny system łączności radiowej,
- noclegi, kocz, gaz do gotowania.

Zgłoszenia za pośrednictwem klubów lub indywidualnie:

COS PZA, skr. poczt. 399, 34-500 Zakopane tel: (165) 124-01

Co nowego w Tatrach

Oddział specjalny na skałach

We wrześniu 1994 roku, w oparciu o porozumienie Urzędu Kultury Fizycznej i Turystyki z Ministerstwem Edukacji Narodowej, Ministerstwem Zdrowia oraz z Szefem Sztabu Generalnego Wojska Polskiego doszedł do skutku niecodzienny kurs taternicki. W COS PZA „Betlejemka” pojawiło się 12 żołnierzy zawodowych z Nadwiślańskiej Jednostki Wojskowej pod dowództwem p. Ryszarda Zieniawy. Warto tutaj przypomnieć, że p. Zieniawa, wielokrotnie mistrz Polski w judo, a później wieloletni trener kadry narodowej, uprawiał także taternictwo. Był członkiem koła warszawskiego i posiadał stopień taternika zwyczajnego Klubu Wysokogórskiego.

Wojsko pojawiło się w Zakopanem w strugach deszczu. Po zakupieniu obuwia wspinaczkowego w sklepie „Alpin-Sport” można było rozpocząć działalność górską. Większość żołnierzy posiadała wprawdzie przeszkolenie skałkowe, ale prawdziwe góry widziały po raz pierwszy. Po wstępnych wycieczkach na Orlą Perć pogoda wreszcie uległa poprawie i można było rozpocząć wspinaczki. Pod kierunkiem instruktorów PZA: Piotra Dębskiego, Ryszarda Gajewskiego, Wojciecha Wajdy i Wojciecha Świąckiego (jednocześnie kierownika kursu) pokonano kilkanaście dróg i to wcale nie najłatwiejszych. W czasie dwóch wypadów do Morskiego Oka kilkakrotnie wspinano się na Mnichu, zrobiono też drogę Czecha i Ustupskiego na Żabim Mnichu. Trochę niezamierzonym hitem kursu było przejście południowo-zachodniej grani Żabiej Łalki bez ułatwiających drogę obejść. Program kursu kładł silny nacisk na typowo wojskową sprawność żołnierzy działających w górach. Wielokrotnie ćwiczone zjazdy i podchodzenie po linie oraz podsta-

wowe techniki ratownictwa górskiego. Trzeba przyznać, że przynajmniej kilku żołnierzy wykazywało wyjątkowe predyspozycje do wspinaczki górskiej i mogli być „gwiazdami” na każdym kursie taternickim. Należy podkreślić wyjątkowe zdyscyplinowanie całego oddziału i duże zainteresowanie sprawami gór i ochrony przyrody.

W.Ś.

Imponująca łańcuchówka

Ratownik Horskiej Służby Wlodo Tatarka w dniu 28 lipca 1994 roku dokonał naprawy imponującej wyczynu. Oto godzinowy plan tego dnia.

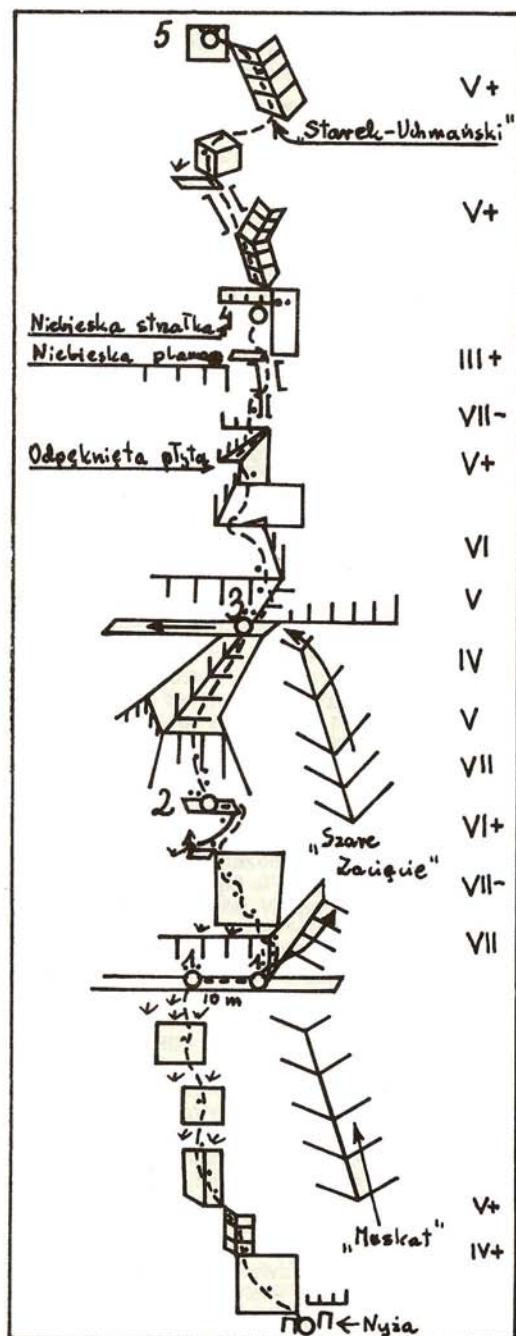
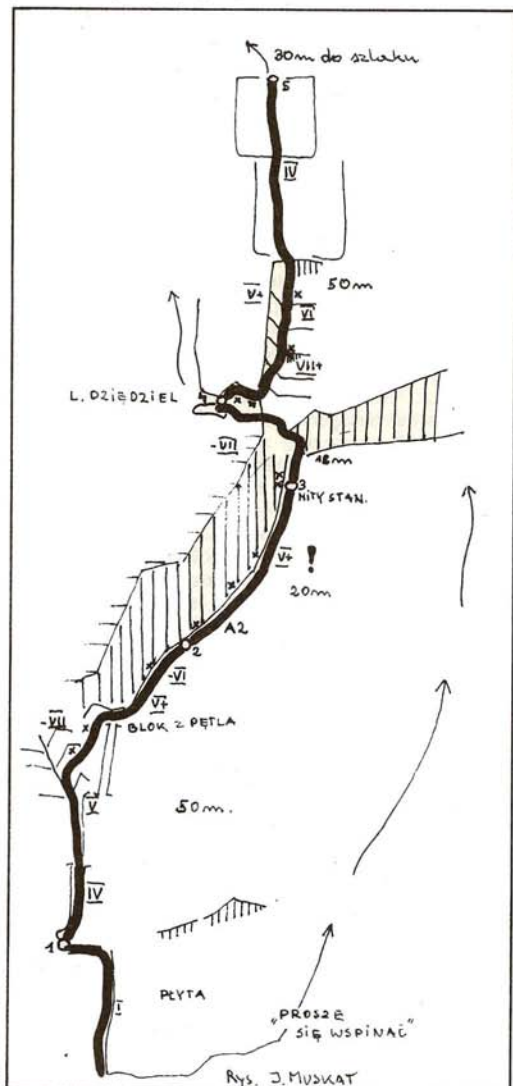
- 6.10 - stanął pod Galerią Gankową po noclegu w Chacie pod Rysami.
- 7.20 - wszedł na Galerię Gankową drogą Stanisławskiego.
- 11.40 - był pod północną ścianą Jaworowego Szczytu. Dotarł tu przez Pustą Ławkę, Rohatkę i Jaworową Przełęcz.
- 12.35 - wszedł na Jaworowy Szczyt Żlebem Stanisławskiego (WHP 2372).
- 17.10 - dotarł pod północną ścianę Małego Kieżmarskiego, doszedł tu przez Jaworową Przełęcz, Lodową Przełęcz i Baranią Przełęcz.
- 18.15 - stanął na Niemieckiej Drabinie po przejściu Komina Stanisławskiego.

Wlodo Tatarka miał ze sobą 10 metrów liny. Asekurował się w kilku miejscach między innymi na Galerii Gankowej. Wlodo Tatarka ma 50 lat. Jest to wyczyn bardziej imponujący niż „ósemka” ze spitami co półtora metra.

W. Cywiński

Nowe drogi w Tatrach

— Ściana czołowa pn.-wsch. filara MSW „Grey Stone” nowa droga 8.09.1994. Autorzy: Tomasz Köhler i Lucyna Pleśniar, trudności VII i RP., opracowanie i przygotowanie ze zjazdów: T. Köhler i Jacek Czyż. Pięć wyciągów, droga wyposażona w 37 spitów. Sprzęt: 9 ekspresów, komplet kości. Droga oferuje ciekawą wspinaczkę w bezpiecznych, oczyszczonych z traw i kruszyny płytach. Przebieg wyznacza płyta pomiędzy Szarym a Czarnym Zacięciem. Pierwszy wyciąg pokrywa się z wcześniej chodzonym, zapomnianym wariantem. Ostatnie 10 m drogi wspólnie ze „Starkiem — Uchmańskim”. Droga wyznacza najlepszą i najbardziej bezpieczną na ścianie trasę zjazdową wyposażoną w stalowe kołucha. 4 zjazdy dla posiadaczy liny podwójnej 2 x 50 m, 7 zjazdów dla posiadaczy liny pojedynczej 1 x 50 m.



■ Zachodnia ściana Kościelca „Gorzkie Gody” J. Jania, J. Muskat, trudności VII+ A2 15 m, A. F. Zostały 2 nity stanowiskowe, 8 haków, 10 godzin, 10 lipca i 14 sierpnia.

Kilka nowych dróg i wariantów przeszedł w sezonie letnim 1994 r. zespół: Maciej Tertelis i Wojciech Wenta, szczegóły w biuletynie „GIA” 10/94.

Wypadek w Jaskini Wielka Śnieżna

Wieczorem w dniu 30 czerwca 1994 r. w wyniku odpadnięcia zginął w Jaskini Wielka Śnieżna młody wrocławski grotolaz Przemysław Rogowski. Wypadek miał miejsce po pokonaniu ciągów Błotnych Łaźni, w rejonie suchego dna jaskini, na głębokości ok. -740 m w stosunku do otworu Nad Kotlinami, którym nastąpiło wejście. Poniżej zamieszczamy opis tragicznie zakończonych akcji (z nieistotnymi skrótami redakcyjnymi), sporządzony w oparciu o relacje uczestników przez szefową obozowiska PZA, a zarazem instruktora - Zosię Chruściel.

Opis akcji, podczas której wydarzył się wypadek.

Członkowie Sekcji Grotolazów KW Wrocław przyjechali do Zakopanego pociągami w dniu 25 czerwca rano. Do 28 czerwca Marcin Fetter, Krzysztof Furgał, Rafał Mateja i Maciej Rudyk przeprowadzili 3 akcje jaskiniowe (w tym jedną większą), a Tomasz Łysek - jedną. W dniu tym przyjechał Przemysław Rogowski.

29 VI godz. 16.00 - wyjście całego zespołu do J.Wielkiej Śnieżnej z zamiarem dojścia do Suchego Biwaku (-473 m). Z powodu burzy wrócili z podejścia około godziny 18.00.

30 VI godz. 8.00 - wyjście z obozowiska PZA na Polanie Rogoźniczańskiej, dojazd autobusem do Gronika. Godz. 11.00 - dojście do otworu J. Nad Kotlinami. Godz. 13.00 - wejście do jaskini, poręczowanie.

Nad studnią Setką grupa rozdzieliła się. M. Fetter, T. Łysek i M. Rudyk (kierownik) pozostali w tym miejscu. Umówili się, że będą czekać 6 godzin i jeżeli zespół schodzący głębiej nie powróci w tym czasie, oznaczać to będzie, że wychodzi on otworem J. Śnieżnej. W takim razie oczekujący wycofają się sami J. Nad Kotlinami /.../. Około godz. 21.00 zespół M. Rudyka sprawdziliśmy, że nikogo pod Setką nie widać ani nie słychać zaczął wychodzić /.../. Na powierzchnię dotarli o 3.00. Przy otworze czekali do 7.30 i zeszli w dolinę. Pod Świątówką spotkali ratowników TOPR i dowiedzieli się o wypadku.

O godz. 16.30 K. Furgał, R. Mateja (kierownik), P. Rogowski zdecydowali się na zejście do dna. Wszyscy czuli się dobrze i oceniali, że akcja przebiega sprawnie. Rafał zastrzegł, że jeśli ktoś będzie miał choć cień wątpliwości, to zaraz wycofają się w górę. Od dna Setki poruszali się „na lekko”, gdyż fragment poniżej - do Studni Wiatrów był zaporcowany. Nad Studnią tą leżała zwinięta lina, którą zaporcowali trawers do Błotnych Łaźni. Na błotnych pochylniach wisiła lina. Pierwszy zjechał Rafał, zajął w Parszywą Siedemnastkę - tu już liny nie było, tylko na jednym spicie była placka. Gdy zjechał Przemek, Rafał kazał zdjąć Krzyśkowi linę z pochylni i powiesił ją na spicie. Ale lina wisiła w cieku wodnym, a oni nie mieli drugiej placki więc zrezygnowali ze zjazdu do Syfonu Dziadka (-754 m) i poszli w stronę Syfonu Marzeń. Rafał pierwszy wpiął rolkę w linę i przetrawersował studnię. Po drugiej stronie szczelina

prowadząca w tym kierunku szła lekko w górę. Eksponowana półka, którą prowadził trawers, była pozioma i szeroka, tak że można by się na niej mijać, natomiast szczelina była mokra i pokryta naniesionym błotem. Wypiął rolkę i zapieraczką poszedł do miejsca, gdzie bezpiecznie mógł stanąć. Obrócił się i obserwował jak przechodzi Przemek. Ten, jak Rafał, wpiął się z liny na końcu trawersu i podchodził zapieraczką. W pewnym momencie obrócił się równoległe do szczeliny, uniósł ręce, jakby chciał przetrzeć okulary, nogi obsunęły mu się i ześlizgnął się w szczelinę spadając około 15 m na dno Parszywej Siedemnastki.

Rafał natychmiast wrócił do liny. Krzyśiek szybko wpiął się z niej i pozostał na półce gdy Rafał, nie dochodząc nawet do spita zjechał na dół. W strumieniach wody zgąstała mowa lampa karbidowa, zapalił więc elektryczną. W pierwszym momencie nie zauważył Przemka. Zajął w stronę Syfonu Dziadka, gdzie było mniej wody - też go nie znalazł. Dokładniej przeszukał zalane wodą dno studni i w końcu zauważył wystający z wody kawałek czerwonego kasku. Przemek prawdopodobnie leżał na plecach. Rafał szybko wyciągnął go z wody - poszkodowany był bardzo ciężki. Rafał miał kłopoty z przeciągnięciem go pod ścianę, ale głowę utrzymywał mu już cały czas ponad wodą. Oparł Przemka o ścianę do pasa zanurzonego w wodzie, gdyż całe dno studni było zalane. Sprawdził tętno na tętnicy szyjnej - nic nie wyczuwał. W tym czasie zjechał Krzyśiek i obaj podjęli reanimację /.../ - masaże serca i sztuczne oddychanie.

Kilkakrotnie sprawdzali tętno na szyi i nadgarstku - nie wyczuwali nic, a ręka była zupełnie sztywna.

Działali w strugach wody, klęczeli w niej i gdy sami zaczęli sztywnieć z zimna, a Przemek nie dawał oznak życia, zdecydowali na wycofanie się. Dość długo zbierali się, zanim opuścili Przemka, lecz nic już nie mogli zmienić ani zrobić.

Wychodzili Śnieżną - poza krótkim postojem na Drugim Biwaku dla zmiany karbidu - bez przerwy. Nie przebiegając się o 1.00 w nocy dotarli do wojskowego ośrodka na Groniku, skąd powiadomili TOPR. Na Polanie Rogoźniczańskiej dotarli o 2.40.

Opis sporządziłam wspólnie z Rafałem Mateją zaraz po wypadku, w obozowisku na Polanie Rogoźniczańskiej.

Zofia Chruściel

Sekcja Grotolazów Klubu Wysokogórskiego we Wrocławiu powołała komisję w celu zbadania okoliczności wypadku. Komisja ta, w składzie: Tadeusz Bryś (przewodniczący), Andrzej Piesiewicz, Adam Domaniewicz i Tomasz Kłis, nie dopatrzyla się błędów w sposobie prowadzenia akcji jaskiniowej. W swym orzeczeniu stwierdziła wystarczającą aklimatyzację, podkreśliła też, że podczas przebiegającej sprawnie i szybko akcji zespół, w skład którego wchodził P. Rogowski, dwukrotnie odpoczywał (na Suchym Biwaku i Drugim Biwaku).

- gdzie spożyli posiłek). R. Mateja sprawdzał przy tej okazji kondycję fizyczną i psychiczną kolegów.

Oceniał ją jako dobrą. Sam upadek uznany został za nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Jedynym wykazanym uchybieniem był brak formalnych uprawnień taternickich ofiary wypadku. Podczas ostatniego egzaminu P. Rogowski nie posiadał jeszcze kompletu przejść i nie mógł być do niego dopuszczony (brak jednego przejścia zimowego). Od tego czasu uczestniczył w trzech poważniejszych akcjach: do Syfonu Krakowskiego i do Partii Wrocławskich w Wielkiej Śnieżnej oraz do dna Wielkiej Litworowej.

Tyle z ustaleń postępowania powypadkowego. Wygląda na to, że było to jedno z tych nieszczęść, które wynikają z samego faktu istnienia ekspozycji. Nie dowiemy się nigdy czy zdecydował chwilowy brak koncentracji, nieuwaga, czy może jednak zmęczenie.

Można się tylko zastanawiać jaki wpływ na tra-

giczny finał akcji miało małe jeszcze doświadczenie jaskiniowe i związana z tym możliwość niewłaściwej oceny sytuacji. Jakiś błąd w ustawieniu ciała, technice przemieszczania się w łatwym, lecz eksponowanym i śliskim terenie, nałożył się na decyzję o zaniechaniu asekuracji w miejscu, gdzie bywa ona stosowana. Oczywiście rozstrzygnięcie kto i gdzie ma się asekurować jest sprawą bardzo indywidualną.

Przy całym arsenale współczesnej techniki i dobrym wyszkoleniu, najgłębsza jaskinia Polski nie stanowi (w normalnych warunkach) problemu technicznego dla sprawnej młodzieży. Pewien zasób doświadczenia daje jednak większe szanse na bezawaryjne jej pokonanie. Chociaż oczywiście i trzech instruktorów naraz nie jest w stanie zapewnić stuprocentowego bezpieczeństwa, gdyż ryzyko jest częścią naszego sportu i chodzi tylko o to, by utrzymać je na rozsądnym poziomie.

Rafał Kardaś

Tragedia Sokoła

11 sierpnia 1994 roku na zalesiony stok Doliny Olczyskiej pod Kopieńcem spadł śmigłowiec „Sokół” należący do TOPR. Podczas upadku maszyny śmierć ponieśli piloci: Bogusław Arendarski i Janusz Rybicki, ratownicy: Janusz Kubica i Stanisław Mateja Tobiarz.

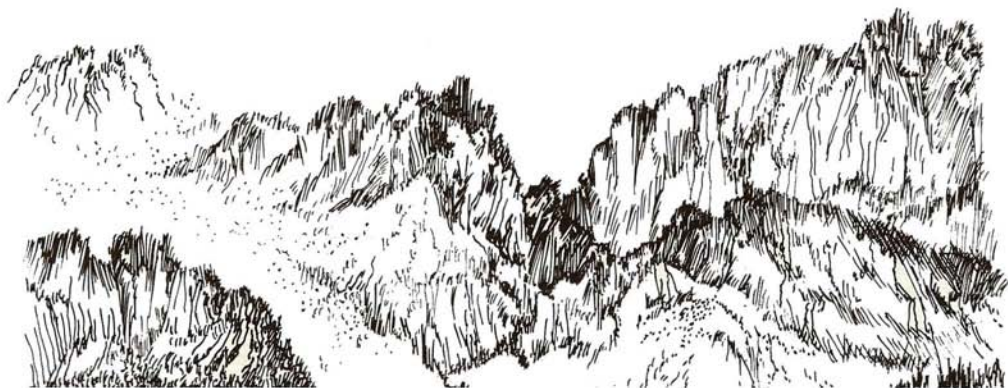
Początek tragedii nastąpił na Hali Gąsienicowej, kiedy podczas akcji ratunkowej po dwie turytki został ranny w głowę Janusz Kubica. Uderzenie spowodowało najprawdopodobniej jakiś element pochodzący ze śmigłowca. „Sokół” z rannym i opiekującym się nim Stanisławem Mateją odleciał w kierunku Zakopanego. Po przejściu nad Kopą Królową Wyżnią obniżył lot. Ostatnie chwile „Sokoła” zostały utrwalone na taśmie wideo przez 12-letniego chłopca. Na tych ujęciach wyraźnie słychać rytmiczny głuchy łoskot. Może to świadczyć o przyczynie wypadku. Jedną z hipotez mówi, że przyczyną tragedii była awaria łopaty nośnej wirnika głównego. Podczas ostatniego lotu „Sokół” miał łopaty nośne pochodzące z różnych serii produkcyjnych. Były one jednakowe, ale wytworzono je

w różnym czasie. Jedną z łopat była starsza od pozostałych. Nie przekroczyła jednak obowiązującego limitu czasu. Do analizy przyczyn wypadku niewiele wniosło badanie tzw. czarnej skrzynki. Jeden z jej elementów był niesprawny. Ostatni zapis magnetofonowy rozmów pilotów został zarejestrowany 30 godzin przed upadkiem, podczas lotu kontrolnego, po przeprowadzonym remoncie. Potem nie było już żadnego zapisu, a magnetofon był prawdopodobnie uszkodzony.

Miejsce tragedii kilkakrotnie przeszukiwano, aby znaleźć wszystkie szczątki śmigłowca. W akcji tej uczestniczyli kursanci i instruktorzy z COS „Betlejemka”. Podobne poszukiwania prowadzono również na Hali Gąsienicowej, w miejscu ranienia Janusza Kubicy. Niestety, niczego tam nie znaleziono.

Tragedia „Sokoła”, śmierć pilotów i ratowników wstrząsnęły całym środowiskiem. Przy okazji pojawiło się wiele przypuszczeń co do przyczyny wypadku. Do czasu napisania tej notatki Główna Komisja Badań Katastrof Lotniczych nie zakończyła jeszcze prac nad badaniem przyczyn katastrofy.

AK



Kongres UIAA w Stambule

Gospodarzem tegorocznych obrad władz UIAA była federacja turecka. Kongres odbywał się w dniach 5-8 października w Stambule i zgromadził niemal wszystkie organizacje zrzeszone w Unii Internationale Des Associations D'Alpinisme. Mniej zorientowanym warto wyjaśnić, że UIAA jest organizacją o zasięgu światowym, której celem (poprzez zrzeszenie federacji i klubów narodowych) jest animowanie i koordynowanie różnych aspektów aktywności górskiej i wspinaczkowej. Rolę sztabu spełnia komitet kierowany przez prezydenta UIAA Pietra Segantinię, natomiast konkretne problemy i zadania rozwiązuje 9 komisji roboczych: bezpieczeństwa, ochrony gór, wypraw, medyczna, alpinizm, zawodów wspinaczkowych, młodzieżowa, dokumentacji i finansów. Według stanu na koniec 1994 roku UIAA zrzesza 73 organizacje górskie w tym: 44 z Europy, 18 z Azji i Oceanii, 9 z obu Ameryk i 2 z Afryki.

Tematem debaty generalnej były różne sprawy formalne, takie jak zmiany we władzach UIAA, przyjęcia nowych członków, sprawozdania komisji roboczych oraz uchwalenie budżetu. Do ciekawszych wydarzeń można zaliczyć apel do rządów i samorządów lokalnych w sprawie ograniczenia ruchu lotniczego nad obszarami góorskimi. Istotnie w wielu krajach prawdziwą plagą stanowią tzw. przejażdżki powietrzne nad górami (żeby daleko nie szukać, loty tego rodzaju są organizowane na Słowacji) oraz niekontrolowane przeloty prywatnych awionetek. W apelu wyrażona jest opinia, że jedynym uzasadnieniem do zakłócania ciszy w górach przez warkot silników jest transport ciężkich ładunków (np. przy budowie schronisk) oraz akcje ratunkowe. Inny ważny apel dotyczył prób rugowania wspinaczy z rejonów objętych statusem parków narodowych. Jest bowiem sprawą oczywistą i rzeczywistą zarazem, że wspinacze stanowią najbardziej uświadomione grono użytkowników gór i terenów skalnych i bardziej służą idel ochrony gór niż tłumy niedzielnych czy przypadkowych turystów. Miłym akcentem tego dnia obrad było nadanie godności członka honorowego UIAA znanemu alpinistom włoskiemu Walterowi Bonattiemu. Kandydatura „nadczołwieka Alp” wywołała zrozumiałe aplauzy i owację na stojąco.

Sesja robocza tegorocznego kongresu była poświęcona sprawom bezpieczeństwa. Po nader interesującym referacie Jeda Williamsona z American Alpine Club na temat przyczyn wypadków górskich w USA i Kanadzie (dominują upadki z powodu braku odpowiedniej lub jakiegokolwiek asekuracji) przystąpili do pracy 4 zespoły problemowe: wypraw, ratownictwa górskiego, edukacji wspinaczkowej oraz zagadnień prawnych. Swobodny wybór interesujących zagadnień utrudniały niestety podziały językowe, gdyż dyskusje dotyczyły się w oczyszczonych językach przewodniczących poszczególnych zespołów. Nawiasem mówiąc, taki stan rzeczy sprawił, że podjęto uchwałę o uznaniu od przyszłego roku języka angielskiego za jedyny język oficjalny w obrębie UIAA. Delegat PZA uczestniczył w debacie na tematy szkoleniowe. Trzeba

stwierdzić, że zaprezentowany polski model edukacji wspinaczkowej poprzez zorganizowane kursy skałkowe oraz kursy tatrzańskie latem i zimą spotkał się z dużym zainteresowaniem i przychylną oceną międzynarodowego grona dyskutantów. Kilkakrotnie podkreślano, że rozpoczynanie nauki wspinania pod okiem licencjonowanego instruktora (co w Polsce jest jakby sprawą oczywistą) stanowi model idealny, choć trudny do zrealizowania w innych krajach. Na przeszkodzie stoją tam głównie silne tradycje przewodnickie, gdzie chodzi raczej o prowadzenie klientów, niż o ich szybkie usamodzielnienie się. Kolejnym punktem debaty było wyrażenie poglądów na temat wyposażania dróg w stałe punkty asekuracyjne. Dał się wówczas zauważyć wyraźny podział na generację, gdzie starsi w dość kosztowny sposób optowali za „romantyzmem i przygodą” i w ogóle nie przyjmowali argumentów, że romantyzm i przygoda dotyczą wyłącznie sfery estetyki, natomiast liczba połamanych rąk i nóg oraz sztuczonych tytków jest wymiernym faktem statystycznym łatwo przeliczalnym na liczbę „osobo-szpitalo-dni” i wystawionych aktów zgonu. Jak łatwo domyślić się nie osiągnięto w tym punkcie dyskusji żadnego porozumienia, choć można zaryzykować przypuszczenie, że odmłodzenie pokolenia działaczy zaowocuje większą przychylnością do problematyki szpitali.

Duże zainteresowanie wzbudził referat Jeana Franka Charleta z Francji na temat przyczyn i liczby wypadków w rejonie Mont Blanc. Od początku stycznia do początku października 1994 r. zanotowano ponad 700 interwencji ratowniczych. Przyczyną ponad 70 zgonów oraz zaginięć bez odnalezienia ciał były głównie lawiny śnieżne oraz kamienne, a także wpadnięcia do szczelin. Ten rodzaj wypadków miał wyraźny związek z upałami, a co za tym idzie z błędnym wyborem celów oraz tras. Prawie 1/4 interwencji okazała się zbędna przynajmniej w tym sensie, że używający pomocy znajdowali się w dobrym stanie i przy lepszych kwalifikacjach mogliby o własnych siłach powrócić w doliny. Przekonywający dowód na rzecz użycia kasków wspinaczkowych stanowiły materiały uzyskane od doktora B. Marsigny'ego ze szpitala w Chamonix. Urazy głowy, kiedy kask nie uległ rozbiciu nie wymagały hospitalizacji dłuższej niż 48 godzin, przy kaskach pękniętych lub doszczętnie rozbitych rejestrowano wprawdzie urazy czaszki, ale pobyt w szpitalu rzadko kiedy był dłuższy niż kilka dni. Ranni nie używający kasków byli dostarczani zazwyczaj w stanie śpiączki i pomimo intensywnego i długotrwałego leczenia blisko połowa przypadków kończyła się zgonem ofiary.

Ciekawych informacji dostarczają także raporty Komisji Medycznej UIAA. Wbrew dotychczasowemu przekonaniu o dobrodziejstwie używania kijków narciarskich podczas wędrówek górskich zaobserwowano szereg istotnych przeciwwskazań. Okazuje się, że niepoprawna technika używania kijków, a zwłaszcza zbyt odległe trzymanie ich od ciała może stwarzać groźbę powstania nie zamierzonej osi obrotu i powodować upadki poważ-

Rock Master

Historia budowy sztucznych ścian nie jest długa. W ciągu mniej niż 20 lat wypracowano wiele technik ich budowy. Najprostsze ściany można wykonać przystosowując do tego celu istniejący mur, najciekawsze natomiast, przygotowując lekkie i „naturalne” urzeźbione panele z tworzyw sztucznych.

Ściana Rock Master w Krakowie przy ul. Wrocławskiej 82 (w Jednostce Wojsk Desantowych) jest jednym z pierwszych i największych tego typu obiektów w Polsce. Jest to ściana prywatna utrzymująca się z opłat za wstęp oraz z opłat za szkolenia. Wysokość ścian sięga 20 m, powierzchnia wynosi ok. 700 m, a liczba dróg wyznaczonych kolorami przekracza 30. Wspinąć można się z asekuracją górną i dolną. Punkty przelotowe osadzone są bardzo solidnie, bo w 60-cm grubości murze na wyłot. Ściana jest czynna codziennie z wyjątkiem miesięcy letnich i może jednorazowo pomieścić 40 osób. Wszystkie ściany są pionowe. Jest przygotowany projekt strefy przewieszanej, jednak do jej realizacji brakuje sponsora. Przygotowane trasy prowadzą po chwytach przykręconych oraz po chwytach wykutych i uformowanych w betonie. Te ostatnie znacznie lepiej imitują naturalną rzeźbę skalną. Trudności są różnorodne: od łatwych trójek po drogi ekstremalne. Oprócz części treningowej i rekreacyjnej ściana posiada część szkoleniową. Można tutaj prowadzić różnorodne elementy kursu skałkowego: kontrolowane odpadnięcia (opona z wielokrażkiem), hakówka w wąskiej i szerokiej rysie (kostki), zakładanie stanowisk (wiszących z kostek), zjazdy w różnych przyrządach, podchodzenie po linie, poręczowanie, autoratownictwo, wykłady, prelekcje. Działająca na miejscu szkoła wspinaczkowa wykształciła własny system szkolenia i treningu. Zaobserwowano, że największe efekty uzyskuje się, gdy adepci zaczynają wspinanie na sztucznej ścianie.

Różnorodność łatwych dróg (o które trudno w skałach) oraz kameralne warunki dają większe poczucie bezpieczeństwa i nie zmuszają od razu do rozpaczliwej walki o pokonanie drogi. W trakcie wstępnego okresu treningowego kursanci nabierają umiejętności i sił do swobodnego poruszania się w terenie III i IV. Jeżeli okres ten zajmuje cały sezon zimowy (co jest najbardziej wskazane), to przed rozpoczęciem kursu skałkowego adepci wspinaczki są w stanie pokonać drogi VI, a nawet VII. Procentuje to potem w skałkach gdzie po jed-



nodniowym zapoznaniu ze specyfiką skały, można skoncentrować się na nauce asekuracji, podczas gdy kursanci bez problemów prowadzą drogi IV.

Kilka lat obserwacji ludzi rozpoczynających pierwsze kroki wspinaczkowe w skałę i na sztucznej ścianie, wskazuje wyraźnie na korzyść ścianek. Nie powinno się jednak traktować sztucznej ściany zbyt instrumentalnie. Wspinaczka jest czynnością naturalną i uczenie różnych technik wspinaczkowych przy braku możliwości fizycznych ucznia jest szkodliwe, a co najmniej zniechęcające. Podobnie ma się sprawa z formacjami ścianowymi. Niektórzy uważają, że kursanci powinni także wspinąć się w terenie przewieszonym. Założenie to okazuje się błędem, podobnie jak w przypadku uczenia techniki. Zasada, która mówi: najpierw możliwości fizyczne wypracowane w terenie co najwyżej pionowym, a potem przewieszenia, rysy i tarcówki, wydaje się być dobra i sprawdzona.

Potwierdzeniem tych obserwacji mogą być przykłady wspinaczy, którzy rozpoczynali wspinanie na pionowych sztucznych ścianach, uzyskując po tym wysoką progresję sięgającą stopnia VI/3, VI/4 w skałkach, w ciągu jednego sezonu.

Ściana Rock Master stwarza bardzo dobre warunki dla uprawiania wspinania przez dzieci. Oprócz kilkunastu dostępnych dla nich dróg, mają one możliwość przyzwyczajania się do sporych wysokości, co zresztą powoduje, że wspinanie bardziej je ciekawi. Na miejscu znajduje się wypożyczalnia sprzętu (uprząże także dla dzieci). W niewielkim sklepie można dostać pisma wspinaczkowe, buty, trochę różnego sprzętu oraz napoje i „szturmzarcie”. W ciągłej sprzedaży są chwytaki epoksydowe, a obsługa udziela fachowych porad. Dla gości z Polski istnieje możliwość rezerwacji tanich noclegów w pobliskim schronisku turystycznym.

Która większa?

Mnożą się na świecie sztuczne ściany, a ich budowniczości liczą, która z nich jest najwyższa. W Europie centralnej rekord należy jak się zdaje do otwartej 28 sierpnia 1994 ściany na filarze mostu autostrady nad wąwozem Pakkergraben w gminie Pack w Austrii. Wytyczono tam 10 dróg o trudnościach od 5 do -9, niektóre dwuwyciagowe, osiągające wysokość 75 m. Kosztami podzielił się gmina Pack, Austriackie Towarzystwo Alpejskie

oraz Austriacki Związek Turystyczny. Od wspinaczy nie pobiera się opłat, z obawy jednak przed nieproszonymi gośćmi ściana jest strzeżona i udostępniana tylko osobom legitymującym się przynależnością do klubów. Już w pierwszych tygodniach obiekt osiągnął znaczną popularność, zwłaszcza, że autostradą łatwo do niego dotrzeć, a organizatorzy nie zapomnieli o parkingu i małym sympatycznym campingu, z których to obiektów ma czerpać skromne zyski gmina. (jn)

niejsze w skutkach niż bez użycia kijków. Ponadto, ciągłe używanie kijków doprowadza do upośledzenia zmysłu równowagi i pogorszenia koordynacji ruchów, pomimo że użytkownik kijków może subiektywnie czuć się bezpiecznie. Stwierdzono także, że nacisk i ruch są bardzo istotne dla właściwego „odżywiania” chrząstki stawowej, a co za tym idzie, dla sprawności całego stawu. Ciągłe używanie kijków może, poprzez zmniejszenie nacisku na staw, pogorszyć jego „smarowanie”. W konkluzji stwierdza się, że bezpiecznie jest stosować zamiast kijków odpowiednią technikę marszu: unikać zbiegania, schodzić wolno amortyzując każdy krok oraz, co najważniejsze, dostosowywać cele do rzeczywistych możliwości własnego organizmu. Używanie kijków jest zalecane tylko w zejściu i tylko w następujących sytuacjach:

- zaawansowany wiek lub/i nadwaga,
- kiedy dokuczają bóle stawów lub/i kręgosłupa,
- na śniegu i lodzie, w czasie przekraczania strumieni oraz w warunkach ograniczonej widoczności,
- podczas noszenia ciężkich ładunków.

Inne opracowania Komisji Medycznej UIAA dotyczą zasad odżywiania się w górach. Stwierdzono wbrew przekonaniu wielu wspinaczy, że specjalne „sportowe” odżywianie, napoje energetyczne oraz medykamenty same w sobie nie podnoszą wydolności organizmu. Komisja nie potwierdziła żadnych szczególnych wartości witamin, L-carnityn, pierwiastków śladowych, glukozy, kielków, miodu, pyłków kwiatowych, nasion słonecznikowych oraz napojów bogatych w elektrolity. Zaleca się dietę opartą o różnorodne węglowodany i wzbogaconą o białka oraz tłuszcze. Komisja przestrzega natomiast przed odżywianiem zbyt jednostronnym, w tym także i wegetariańskim. Bardzo ważna jest sprawa ustawicznego „nawadniania” organizmu. Pocienie się i oddychanie na zimnie i dużej wysokości może oznaczać utratę do 2 litrów wody na godzinę, co w konsekwencji prowadzi do gęstnienia krwi i dalszych poważnych komplikacji: przedwczesnego zmęczenia, wyczerpania, odmrożeń, zakrzepów, zatorów oraz kamieni nerkowych. W większości przypadków napoje nie muszą być wzbogacane o dodatki mineralne ponieważ normalna, dobrze zrównoważona dieta zawiera wszystkie niezbędne minerały w wystarczającej ilości. Zaleca się lekkie śniadanie, częste przekąski (nawet co 2 godziny) oraz solidne posi-

łki wieczorne. Każdy posiłek powinien być spożywany z dużą ilością płynów (z wyjątkiem alkoholu rzecz jasna).

Interesującą informację, która zaciekawi zapewne większą liczbę wspinaczy, jest zapowiedź wprowadzenia od początku 1995 roku nowych oznaczeń na sprzęcie górskim. Dobrze znana plaketka bezpieczeństwa przedstawiająca litery UIA-A obwiedzione zarysem góry ma zostać zastąpiona literami CE. Nowe normy będą obowiązywać na liny, karabinki, uprząże, kaski, taśmy i pętle, linki pomocnicze, zaciski, przyrządy asekuracyjne i amortyzujące, kostki, haki, śruby lodowe, raki, czekany, bloczki oraz przyrządy zjazdowe. Sprzęt został podzielony na 3 kategorie (Simple, Intermediate i Complex), z których trzecia odnosi się do ekwipunku stwarzającego groźbę wypadku śmiertelnego. Sprzęt tego rodzaju musi:

- a) przejść niezależne testy zgodności ze standardami europejskimi (ENs)
- b) być wyposażony w odpowiednie instrukcje użytkowania
- c) być produkowany pod nadzorem niezależnego kontrolera jakości i być poddawany okresowym próbom niszczącym.

Obowiązywać będą następujące oznaczenia:

- kategoria I - znak CE
- kategoria II - znak CE plus rok uzyskania certyfikatu np. CE95
- kategoria III - znak CE plus rok uzyskania certyfikatu plus numer upoważnionej placówki kontrolującej jakość wyrobu np. CE950456

Zastrzeżono przy okazji możliwości odwrócenia szczyku oznaczeń kodowych dla wyrobów zaliczonych do III kategorii np. 0456 CE95.

Kilka słów wypada poświęcić organizatorowi kongresu. Turecka Federacja Górską dołożyła wszelkich starań aby wszystko wypadło sprawnie i okazało. Gościnność gospodarzy, bankiet pożegnalny oraz nocny rejs po Bosforze pozostaną na długo w pamięci uczestników kongresu. Ja sam ujęty serdeczną atmosferą wyraziłem publicznie pogląd, który okazał się niestety grubą gafą towarzyską. Powiedziałem mianowicie, że zwycięzca spod Wiednia, król Polski Jan III Sobieski walczył po złej stronie, co wywołało wprawdzie aplauz licznie zgromadzonych gospodarzy, ale także wyrażne niezadowolenie delegata Austrii...

Wojciech Świącicki

A może jednak Mallory?

Gośćmi III edycji francuskiego festiwalu „Ecrans de l'aventure” byli Sir Edmund Hillary oraz Pierre Mazeaud, jeden z trójki pierwszych Francuzów na szczycie świata (w jesieni 1978). W rozmowie przed kamerami zapytano Hillary'ego, czy wdrapując się na czubek Everestu nie obawiał się, że zastanie tam czekan Mallory'ego. Hillary przyznał, że dotąd nigdy o tym nie wspomniał, ale podczas drogi w górę tał w sobie podświadomy niepokój i zbliżając się do szczytu stawiał sobie pyta-

nie: czy aby na pewno będziemy pierwsi? Skrupulatnie też obszukał niewielki obszar wierzchołka - lodowy, więc raczej bez możliwości przechowania jakichś starszych śladów. „Jak zachowałbym się - mówi - gdyby na czubku tkwił zardzewiały czekan Mallory'ego lub gdyby leżała tam archaiczna butla tlenowa? Myślę, że powiedziałbym tak: oni byli tu przed nami, ale Tenzing i ja będziemy tymi zdobywcami, którzy powrócą ze szczytu żywi. Dla mnie to jest zawsze ważniejsze, aniżeli samo pierwszeństwo”.

J. Nyka

Sport wspinaczkowy

Finał Pucharu Polski '94

Kraków 12-13.11.1994 r.

Sobota - Eliminacje

O godzinie 11.50, z przeszło dwugodzinnym opóźnieniem, kiedy publiczność straciła już nadzieję, że zawody w ogóle się rozpoczną, pojawili się wreszcie zawodnicy. W 83-osobowym tłumie dało się zauważyć rekordową liczbę 16 par.

Eliminacje przeprowadzono na trzech drogach: dwóch męskich i jednej kobiecej. Droga półfinałowa okazała się nie tak trudna jak oczekiwano i do finału zakwalifikowało się aż 15 zawodników, natomiast do finału konkurencji ma czas zakwalifikowano 4 zawodników i 4 zawodniczki.

Niedziela - Finały

Pierwsze wystartowały panie. Droga wiodła najpierw przez okapik, potem przez dającą chwilę wytchnienia ściankę, by wreszcie przejść w przewieszony filarek. Tam też odpadała większość zawodniczek. Prawdziwie męską formę zaprezentowała Iwona Gronkiewicz-Marcisz.

Droga finałowa mężczyzn prowadziła skosem przez przewieszoną płytę, a potem krawędzią skośnego okapu wyprowadzała na środek wielkiego dachu z sosem. Drogę ukończyło 4 zawodników, co spowodowało konieczność rozegrania superfinału. Zwyciężył Marcin Bartocha z Częstochowy, sprawiając tym samym, że po raz kolejny Koroniarzom nie było dane stanąć na najwyższym podium.

W zawodach na czas ponownie wygrał Tomasz

Oleksy z Tarnowa, natomiast wśród kobiet tryumfowała faworytka tej konkurencji - Renata Piszczek.

Puchar Polski - Panie

1. Renata Piszczek - Kraków
2. Urszula Wróbel - Kraków
3. Monika Niedbalska - Kraków

Puchar Polski - Panowie

1. Jacek Jurkowski - Nowy Sącz
2. Renard Stachnik (Kraków)
3. Grzegorz Kimla - Częstochowa

M.G.

Zawody u strażaków

Sekcja Wspinaczki Sportowej przy Szkole Głównej Służby Pożarniczej w Warszawie zorganizowała 23 października 1994 r. niewielkie otwarte zawody z udziałem 14 osób (w tym 2 dziewczyny).

Trzej zawodnicy, którzy ukończyli drogę eliminacyjną, uporali się również z finałową. O kolejności zadecydował więc czas, a ustalona w ten sposób ostateczna klasyfikacja wyglądała następująco: 1. Dawid Kaszlikowski; 2. Łukasz Miler (Katowice); 3. Ryszard Tomasiak.

Zawody miały na celu trening przed poważniejszymi startami, a zarazem wewnętrzny ranking, były też okazją dla osób z zewnątrz do skorzystania ze ścianki. Planowany jest cykl takich spotkań w rytmie dwutygodniowym. Jeśli pomysł doczeka się realizacji, ta interesująca inicjatywa wpłynie z pewnością stymulująco na środowisko warszawskich wspinaczy.

(r)

Get High Magazine...

mountain sports

Regular monthly articles on: Rock Climbing (Home and abroad), Mountaineering, Serious Hill Walking, Gear Reports, Personality Profiles, Basic Techniques, BMC news, Letters, plus occasional features on mountain based paragliding and ski - mountaineering.

FOR
WORLDWIDE
"MOUNTAIN INFO"

I wish to subscribe to "HIGH" monthly, at £27 UK, (plus £2.50 if BMC membership required, UK only), £32 overseas

I authorise you to debit my ACCESS/VISA/MASTERCARD account with the amount of £.....

I enclose my remittance for UK £.....

My card no. is Expiry Date

(specify to High Magazine Ltd, credit cards are easier for overseas subscribers)

Cardholders name and address.....

Name..... Delivery address.....

BMC membership required £2.50 extra (UK only) YES/NO

Most back issues are available @ £2.30 UK, £3.30 Overseas.

Send to: HIGH MAGAZINE LTD, 164 BARKBY ROAD, LEICESTER LE4 9LF, ENGLAND

I Puchar Świstaka - Zakopane '94

23 października tego roku odbyły się po raz pierwszy w Zakopanem zawody o „Puchar Świstaka”. 26 zawodników rozpoczęło zmagania na Polanie Huciska w Dolinie Chochołowskiej. Musieli przebiec siedmiokilometrową „pierwszą pętlę” - trasę wiodącą Ścieżką nad Reglami aż do Doliny Lejowej, co oczywiście wymagało prawdziwej kondycji, a od niektórych również sporego poświęcenia. Następnie, bez odpoczynku, musieli wspiąć się na kilkunastometrowe skałki przy pomocy drążących już rąk i wycieńczonych nóg. Po tym dopiero zaczynała się złowroga „druga pętla”, licząca sobie 4 km: w górę i w dół Doliny Lejowej. U wylotu niecierpliwie oczekiwała meta, na której szczęśliwie kończył się pomiar czasu. Następująca po tym ogromnym wysiłku chwila wytchnienia była tylko „ciszą przed burzą”, ponieważ zaraz rozpoczął się drugi etap imprezy, z którym wielu zawodników wiązało największe nadzieje. Była to wspinaczka z dolną asekuracją o trudnościach od IV do VIII (do wyboru). Dramaturgii całej konkurencji dodawała możliwość zarówno biegu, jak i wspinaczki z ośmiokilogramowym plecakiem. Na tym polu sporymi umiejętnościami popisał się Marcin Naglak, który ukończył zawody na drugim miejscu, cały czas niosąc ze sobą taki ciężar. Swoistym wydarzeniem zawodów była uwieńczone powodzeniem wspinaczka Jacka Jani w trudnościach VIII - również z plecakiem! Miłą niespodzianką sprawiła jedna z dwóch startujących pań - Anna Gajewska pokonując z ośmioma kilogramami na plecach drogę, której nie powstydziliby się wielu mężczyzn. Miejsce dla siebie znalazła również tzw. przyszłość polskiego alpinizmu - dzieci wystartowały w trochę mniej wyczerpujących, rozgrywanych równocześnie zawodach.

Spórą zachętą do ekstremalnego wysiłku w czasie biegu była, zapewniona przez sponsorów: Himal-Sport Krzysztofa Wielickiego, „Betlejemkę” i firmę HITACHI, duża pula nagród obejmująca różne różności - od dziabki Cassina i innych alpinistycznych przyborów, poprzez 30 noclegów w „Betlejemce”, po kryształowe lustra. Dzięki szczęśliwemu stosunkowi liczby nagród do liczby uczestników, każdy (oprócz jednego zdyskwalifikowanego) otrzymał premię.

Obok hojności sponsorów zdecydowanie także trzeba pochwalić zdolności organizatorskie Jana Muskata (KW Zakopane) i Ludwika Wilczyńskiego (KW Toruń), dzięki którym cała impreza odbyła się bez większych potknięć, czy niejasności w regulaminie. Obaj pomysłodawcy planują zaaranżować podobne zawody wiosną przyszłego roku w Toruniu i Zakopanem. Są więc szanse na zajęcie przez tę ciekawą imprezę stałego miejsca w kalendarzu.

Ranking I Pucharu Świstaka

Kobiety: 1. Anna Gajewska (Speleoklub Warszawski); 2. Zofia Czarnota („Betlejemka”).



Fot. Jacek Szczurek

Mężczyźni: 1. Szymon Kapeniak (KW Zakopane); 2. Rafał Naglak (KW Zakopane); 3. Jacek Jania (KW Zakopane); 4. Adam Liana...

Tomasz Fiedorowicz



Goście, zawodnicy i organizatorzy. Stoją od lewej: A. Machnik, J. Muskat, E. Hornowski, A. Włodarczyk, J. Barszczewski, B. Stama. Siedzą: L. Wilczyński, Z. Siekiński, R. Gajewski

Fot. Jacek Szczurek

Wspinaczki nad wieżowcami

Zdjęcia wyglądają jak zręczne fotomontaże: wspinacze przylepieni do skalnych pionów, a w dole pod nimi las drapaczy chmur, niemal w nowojorskim zmasowaniu. To Hongkong, mający - wiedzę o tym tylko ci, co tam byli - okazałe skaliste góry. Główny poligon wspinaczkowy stanowi Lion Rock na skraju miasta - z wyborem dróg do 75 m wysokości i trudnościami sięgającymi stopnia 24 w australijskiej skali (UIAA VIII-). Od roku masyw ten ma własny przewodnik. Innym podmiejskim parkiem wspinaczkowym jest Kowloon Peak. Bogate i dotąd nawet nie zewidencjonowane tereny skałkowe znajdują się na wyspach w otoczeniu Hongkongu. Dodajmy, że właśnie to miasto uczyniono parę lat temu siedzibą Azjatyckiej Komisji Wspinaczki Zawodniczej UIAA.

Wieści z gór

Dwa sezony Ryszarda Pawłowskiego

Wejścia na szczyty w 1993 roku

Mt McKinley	- 6194 m	- 18 maja
Nanga Parbat	- 8125 m	- 24 sierpnia
Pumori	- 7161 m	- 25 października

Wejścia na szczyty w 1994 roku

Aconcagua	- 6960 m	- 9 i 29 stycznia
Everest	- 8848 m	- 13 maja
Mt McKinley	- 6194 m	- 16 czerwca
Lhotse	- 8516 m	- 11 października
Ama Dablam*	- 6856 m	- 25 października (dwa razy)

* Dla Ryśka było to czwarte i piąte wejście na wierzchołek, gdyż w 1992 roku wchodził trzykrotnie wprowadzając za każdym razem nowych klientów.

Z Grindenwaldu

W sierpniu 94 r. udało się nam dotrzeć do serca Berner Oberlandu, czyli Grindenwaldu. Celem naszego wyjazdu było wejście na wszystkie wierzchołki czterotysięczne tego rejonu (jest ich dziesięć) drogami wspinaczkowymi średniej klasy, nie przekraczającymi ze względu na ich ilość stopnia TD, oraz drogą R. Mesnera na północnym filarze Eigeru. Ponieważ koszty noclegu w schroniskach są bardzo wysokie, spaliliśmy wyłącznie pod namiotem żywiąc się jedzonkiem przywiezionym z kraju uzupełnianym tamtejszymi owocami. Pogoda nam nie dopisała racząc nas codziennym deszczem oraz zwałami śniegu wewnątrz namiotu. Pomimo tego zrobiliśmy drogi, może nie o znaczącej wartości sportowej, ale dające dużo satysfakcji i przyjemności. A oto niektóre z nich:

- Lauteraarhorn (4042 m), 7.08 South West Ridge AD+;
- Schreckhorn (4078 m), 9.08 South West Ridge D;
- Wengen Jungfrau (4089 m), 15.08 East Ridge D;
- Jungfrau (4158 m), 15.08 North-East Ridge D+;
- Hinter Fiescherhorn (4025 m) i Gross Fiescherhorn (4049 m) 20.08 South-East Ridge PD+;
- Finsteraarhorn (4274 m), 23.08 South-West Ridge AD;
- Gross Grunhorn (4043 m), 25.08 South-East Face D;
- Aletschhorn (4195 m), 27.08 North Face/Hasler Rib AD+;

Warunki w ścianie oraz pogoda uniemożliwiła nam zrobienie jakiegokolwiek drogi na Eigerze, przez którego straciliśmy prawie tydzień uszczuplając nasze zapasy. Alpy Berneńskie zachwycają wprost swą dzikością i surowością. Pustki panujące pod ścianami zachęcają do przeżycia wspaniałej przygody jaką jest niewątpliwie wspinaczka.

Problemu z wyborem dróg właściwie nie ma. Podobnie jak w Chamonix jest tu Biuro Przewodników w którym dostępne są przewodniki w kilku językach (najczęściej niemieckim, francuskim, rzadziej angielskim). Gorzej jest z prognozą pogody, która jest przewidywana tylko do południa następnego dnia i rzadko się sprawdza. Biwakowanie poza campingami jest formalnie zabronione, ale jeśli wie się jak to robić i gdzie, można zaoszczędzić sporo cash'u. Przypadkowo spotkani Krakusi, spędzający w podobny sposób wakacje, stwierdzili: „Polak potrafi”, a więc w góry drogę dziatki...!

Maciek Sokołowski, Krzysztof Woźniak

Alpinizm dobry na wszystko

Z Hongkongu przerzucamy się w Alpy. Jean-Marie Choffat dokonał minione lata pierwszego samotnego przejścia południowej grani Aiguille Rouge de Rochefort (3019 m). Droga nie jest skrajnie trudna i w masie śmiałych tegorocznych solówek (filar Freney, nowa droga w Jorassach, północna ściana Aiguille Noire) nie wzbudziła większego zainteresowania, gdyby nie małe „ale”. Otóż 6 lat temu Choffat został zaatakowany przez złośliwą chorobę nowotworową i lekarze nie wrócili mu nic dobrego. Odpowiadając fizycznej i siły moralnej do walki z chorobą postanowił poszukać w alpinizmie - jak dotąd z powodzeniem. „Najważniejsze, aby się nie zalać” - mówi. - W moim wejściu na Aiguille Rouge chciałbym widzieć przesłanie do wszystkich tych, którzy w obliczu tej choroby stracili ducha. Nie dajcie się, walczyć tak, jak się walczy o życie podczas trudnej wspinaczki w górach”.

(jn)

BMC 40

British Mountaineering Council (BMC), która w Anglii spełnia funkcje podobne jak nasz PZA, obchodzi w tym roku 40-lecie istnienia. Na Walnym Zgromadzeniu wybrano nowy zarząd. Na miejsce Iana McNaught-Davisa (aktualnie wiceprezesa UIAA) wszedł znany alpinista i publicysta górski (redaktor-konsultant „Mountain”, „Hihg”), Paul Nunn. Stanowisko jednego z wiceprezesów powierzono Dougowi Scottowi. Swój jubileusz BMC upamiętniła w sposób nader praktyczny: zamówiła karabinek z napisem „BMC 1954-1994”, sprzedawaną w cenie 4 funtów. Kontakt z rzeszami członków BMC utrzymuje przez swoje kolumny, publikowane co miesiąc na łamach „High”. Wracając do Douga Scotta dodać warto, iż z okazji urodzin Królowej otrzymał on „CBE” czyli komandorię Orderu of the British Empire.

(jn)

W Tre Cime na weekend?

Powyższy tytuł, zamieszczony w „Taterniku” jeszcze kilka lat temu, byłby odbierany jako raczej ironiczny i abstrakcyjny. Dziś jednak, na skutek różnych okoliczności, Dolomity jakby przybliżyły się, stały się „łatwiej dostępne”. Niestety, mimo iż podróż w porównaniu z kolejową odyseją do Zakopanego - wcale nie jest taka długa, a koszty pobytu można znacznie obniżyć kupując żywność w Polsce, ciągle trudno spotkać tam pobrzękującego szpejem rodaka. Być może góry te przegrywają konkurencję z pobliskimi Alpami, a może po prostu nie bardzo wiadomo co, gdzie i jak... Postaram się więc przybliżyć nieco, głównie pod względem praktycznych wskazówek, najpopularniejszy rejon wspinaczkowy Dolomitów - Tre Cime di Lavaredo.

1. DOJAZD

Najprostszym rozwiązaniem jest oczywiście samochód. Jedzie się dwa dni - drugi nocleg spędzimy już pod niebem Dolomitów. I tu uwaga: warto tak rozplanować przejazd, żeby pod Tre Cime dojechać wieczorem. Odcinek od Misuriny do schroniska Auronzo jest bowiem płatny, ale tylko w godz. 6-20! Jeśli więc komuś bardziej niż na podziwianiu panoramy zależy na oszczędzeniu 20 tysięcy lirów, powinien przejechać tą drogą poza wymieniony godzinami...

2. NOCLEGI

Wspomniana droga prowadzi do ogromnego parkingu, wcinającego się wręcz w piargi południowej flanki masywu Tre Cime. Parking oddalony jest od schroniska Auronzo o 3 min. marszu - bardziej zamożni mogą więc skorzystać z kilkunastu miejsc noclegowych tego schroniska lub podejść drogą jeszcze ok. 15 min. do następnego obiektu - schr. Lavaredo (bliższe podejście pod ścianę!). Oba schroniska zasługują raczej na miano hoteli i z tego wielbiciele tzw. atmosfery mogą być z lekką nieusatisfakcjonowani. Większość rodaków byłaby jednak zapewne skłonna do poszukiwania miejsc na postawienie namiotu. Dookoła kusząc łączki, ba - nawet stawki! Niestety, rozbić się tutaj to niechybne narażenie się na gniew miejscowych „filanców”, którzy wcale nie ustępują gorliwości naszym tatrzańskim. Sam byłem świadkiem, jak usiłowali oni ściągnąć ze ściany Cima Grande niefortunnych właścicieli maleńkiego, ukrytego wśród głazów namiotiku. Sam ich gniew nie jest jeszcze taki straszny - gorzej, że mandaty są dużo dokuczliwsze niż ojczyste... Alternatywą dla schronisk jest sam parking wraz z przyległymi łączkami - tu nikt nie ściąga, są ubikacje i nawet źródło z wodą o niebo lepszą od schroniskowej. I to za darmo! Jest jeszcze nie zamieszkała chata (z pryzmami i stołem!) naprzeciw północnej ściany Cima Ovest, oddalona od parkingu o ok. 30 min. marszu w stronę przeciwną niż do schronisk. Nie jestem jednak pewien, czy nie przemieszają w niej pasterze wszechobecnych tu krów (wychodzą z nimi świetnie zdjęcia w stylu

„Milka Chocolate”...). W czasie mojego pobytu chata stała pusta. Można również skorzystać z kempingu, położonego przy samym początku drogi z Misuriny, jeszcze przed „strefą”. W tym wypadku należałoby dość wcześnie wstawać, tak aby dojechać na parking jeszcze przed 6. Trzeba bowiem wiedzieć, że płaci się za każdorazowy przejazd, a poza tym „parkingowi” potrafią czasem - najczęściej ok. południa - sprawdzać bilety wjazdu parkującym już od dawna kierowcom. Jeśli więc już wjechaliśmy pod Cime w sposób moralnie podejrzany, musimy jak najmniej przebywać w pobliżu auta (najlepiej - wspinać się), albo postarać się o bilet od kierowców zjeżdżających już na dół. Mając takowy, możemy parkować bez strachu i ograniczeń czasowych.

3. WSPINANIE

Dużo i najczęściej trudno. Najwięcej jest dróg o trudnościach VI-VIII, ale i amatorzy łatwiejszych wspinaczek nie powinni się w Tre Cime nudzić. Najpopularniejsza (jak wynika z wpisów w schronisku i obserwacji ścian) droga - kant Dibony na Cima Grande - ma na przykład trudności IV-V. Droga ta oferuje piękną, 20-wyciągową wspinaczkę kantem, będącym lewym ograniczeniem słynnej północnej ściany (co chyba stanowi o jej atrakcyjności). Jest ona dobrze ubezpieczona, posiada komplet stanowisk oznakowanych nawet czerwoną literą H wypisaną obok na skale (czyżby od „halt”?). Podobny charakter mają także inne często odwiedzane drogi. W schronisku Lavaredo jest do nabycia włoskojęzyczny przewodnik, prezentujący wybrane drogi wspinaczkowe całych Dolomitów - z tego też względu rejon Tre Cime reprezentowany jest przez zaledwie kilka dróg. Zamiast więc wydawać 30 tys. lirów, lepiej skonsultować się, jakimiś trzeźwo wyglądającymi wspinaczami...

Jeśli chodzi o sprawy sprzętowe - należy bezwzględnie wspinąć się w kaskach (zarówno ze względu na kruchosć skały na drogach mniej chodzonych, jak i możliwość strącania kamyków przez linę). Ponadto osobiście doświadczyłem potrzeby brania w Dolomity... haków, kiedy rozglądałem się bezzadanie w poszukiwaniu punktu asekuracyjnego, a idący obok Hiszpan bez ceregieli wlepotał w szczelinę listka i zniknął nad przewieszką. Nie on jeden zresztą - sporo stałych haków tkwiło w ścianie. Pożądane są również liny raczej długie (najlepiej podwójne lub bliźniacze), a to ze względu na zjazdy, które są najczęściej jedynym sposobem powrotu ze wspinaczki.

4. CENY - LATO 1994

Niektóre podałem powyżej. Inne - te najbardziej niezbędne - kształtują się następująco:

- benzyna ok. 1.900 lirów,
- chleb 3.000-4.000,
- nocleg w schronisku ok. 25.000,
- koszulka „La Sportiva” w przecenie 10.000,
- sprzęt - ceny porównywalne z obowiązującymi w Polsce
- skorzystanie z WC w schronisku Auronzo 50 fenigów.

Mariusz Rutkowski

Bielszczanie na Mont Blanc

W marcu 1994 roku wyjechaliśmy w Alpy Francuskie w zespole: Maciej Krywult i Janusz Hałas, obaj z KW Bielsko-Biała. 5 marca rozstawiliśmy namiot w Walle Blanche opodal starego schroniska Simonda. Z tego miejsca wychodziliśmy dwukrotnie w rejonie Mont Blanc du Tacul. Na rozbieżności zrobiliśmy drogę Gouliotte-Chere na Triangle du Tacul (trochę dłuższy kuluar Kurtyki). Następnie wybór padł na Super Kuluar. Zrobiliśmy go wariantem oryginalnym, a nie tak, jak robi to większość francuskich wspinaczy, łatwiejszym terenem z prawej strony. Po przejściu obu tych dróg zjechaliśmy do Chamonix, by dwa dni później znaleźć się w dolinie Argentiere. Tu przeszliśmy drogą klasyczną na Les Droites.

Po dniu kondycyjnym jeszcze nocą, przetorowaliśmy do końca doliny pod drogę „Petit Viking”. Podeszcie zajęło nam więcej czasu niż efektywne wspinanie. Razem doszliśmy do wniosku, że już nigdy zimą w Alpy nie pojedziemy bez nart do ski-alpinizmu. Taką samą radę usłyszeliśmy już wcześniej od Arka Gąsienicy, dzięki któremu nasz pierwszy pobyt w rejonie Mont Blanc nie był bezowocny. Sprzyjały nam również warunki pogodowe, były one dobre, pomimo kilku dni śniegu i mgły. Kalendarium wyjazdu.

7 marca '94 - Triangle du Tacul, Droga Gouliotte - Chere D+ 6 h

9 marca '94 - M. Blanc du Tacul, Super Kuluar ED- 12 h

14 marca '94 - Les Droites, Droga Cornau - Dayaille TD 12 h

16 marca '94 - Pre de Bar, Droga Petit Viking, TD 3,5 h

Maciej Krywult, Janusz Hałas

Eiger i Johanisberg

Latem 1994 roku członkowie KW Poznań dwukrotnie wyjeżdżali w Alpy. Na początku maja zespół: Maciej Przebitkowski, Mariusz Machciński i Krzysztof Weiss wybrali się na północną ścianę Eigeru. Bazę założyli na campingu „Eigernordwand”. (Ceny za dobę w frankach szwajcarskich, osoba - 8, namiot 6-7, auto 2, łazienki gratis). W nocy z 2 na 3 maja Weiss i Przebitkowski wyszli do Alpiglen i dalej pod północną ścianę, w którą weszli o świcie z zamiarem przejścia drogi klasycznej. Po przejściu Trudnej Rysy dotarli do Tawersu Hinterstoissera skąd zawrócili z powodu psującej się pogody. Zjechali Trudną Rysą i wycofali się ze ściany. Niestety, niekorzystna aura nie dała im drugiej szansy podczas dalszego pobytu.

Na początku września Maciej Przebitkowski i Krzysztof Weiss wyjechali w masyw Grossglockner w Alpach Austriackich. Znowu nie mieli szczęścia do pogody. Z powodu ciemnych chmur zmienili cel Grossglocknera na niższy Johanisberg (3460 m n.p.m.). Ze schroniska Franc Josef wyszli 6 września, żeby wspiąć się na Johanisberg od północy. Schodzili wschodnią flanką.

Starsi panowie w Alpach

Latem 1994 roku kilku starszych panów z Warszawy (wg wiarygodnych źródeł wszyscy po 50-tce) wybrało się w Alpy. Chociaż się wcześniej nie umawiali, doświadczenie i spryt życiowy podsunęły im tę samą metodę górskich działań - wybrali sobie właściwych partnerów. Wszyscy więc wspinali się w towarzystwie Pań, co pozwoliło im wdrapać się bez szwanku na liczne góry.

Jan Serafin (wszyscy, liczni, kontuzjowani weterani gór wiedzą o kogo chodzi i przesyłają pozdrowienia) wspinął się w towarzystwie Pani Teresy Buchholtz. 14 lipca, w grupie Berniny, para ta weszła na Piz Monateratsch (3751 m), od północy, z przełęczy Boval. 18 lipca Teresa i Jan przetrawserowali wszystkie trzy wierzchołki Piz Palù (3905 m) - od wschodu na zachód. 21 lipca przeszli Biancograt na Piz Bernina (4055 m), a 2 sierpnia weszli na Jungfrau (4158 m) w Alpach Berneńskich, przez przełęcz Rottal i południowo-wschodnią grań.

Janusz Żelaziński sprawnie wykorzystał wiedzę górska swojej towarzyszkii Barbary Krasieńskiej. Po aklimatyzacyjnych wejściach na Ag. Petite Verte (3508 m) i Ag. du Tour (3542 m) wspiął się na Mont Blanc (4807 m) przez Ag. du Goûter (14 sierpnia), a na Mont Blanc du Tacul (4248 m) od Col du Midi - w sześć dni później.

Iwona Mosiej-Skłodowska wspiniała się z dwoma starszymi panami. Najpierw w towarzystwie męża weszła na Ag. Argentiere (3902 m) i Ag. Petite Verte. Po wzmocnieniu zespołu o Janusza Kurczabę, trójka ta wdrapała się na Mont Blanc (przez Wielkie Muły - 29 czerwca), a następnie wspięła się granią Hörnli na Matterhorn (4477 m) w Alpach Walijskich (3 lipca).

Jano wrócił do kraju, by niebawem pojechać w Dolomity. Skłodowscy weszli jeszcze na Breithorn (4165 m) w Alpach Walijskich (5 lipca), przetrawserowali Mönch (4099 m) w Alpach Berneńskich, wchodząc południowo-zachodnią granią i schodząc normalną drogą (10 lipca) oraz wspięli się na Jungfrau przez przełęcz Rottal i pld.-wsch. grań. Kurczab zmienił masyw i partnerów. W towarzystwie Ewy i Ryszarda Urbaników 14 sierpnia wspiął się na Cima Grande, normalną drogą. Dwa dni później - już tylko w towarzystwie Ryśka - przeszedł kant Piazza na Torre Delago, a 19 sierpnia - spigolo del Velo na Cima della Madonna. Ta ostatnia droga, o trudnościach V+, ma 400 m wysokości i w przewodnikach charakteryzowana jest jako jedna z najładniejszych alpejskich wspinaczek w wapieniu.

Być może i inni starsi panowie byli tak sprytni jak ci wyżej opisani i mieli tyle szczęścia do pogody. Ale nic mi o tym nie wiadomo.

Andrzej Skłodowski

Konkurs fotograficzny

Na ogłoszony w poprzednim numerze Tatarnika konkurs fotograficzny napłynęło blisko 30 prac. Niestety, większość interesujących tematycznie i nienagannych technicznie zdjęć nie nawiązywała do formuły konkursu „Góry z Alpinusem”. Przy tak sformułowanym temacie trudno było nagrodzić zdjęcia przedstawiające panoramy górskie czy bukowy las w skałkach. Pierwszą nagrodę, plecak firmy „Alpinus” zdobyła Julita Karaś z Warszawy za serię zdjęć z wyprawy w góry Kaukazu. Jedno ze zdjęć tej serii reprodukowujemy poniżej.

Wyróżnienia i koszulki „Alpinus” uzyskali koledzy Paweł Albrecht z Poznania i Maciej Warzecha z Zabrza. Nagrody wysłamy pocztą.

Firma „Alpinus” ogłasza kolejny konkurs fotograficzny. Tym razem temat konkursu brzmi „Wspinaczka z Alpinusem”. Prace w dowolnej liczbie, formacie i technice należy przesłać pod adresem Tatarnika do końca maja 1995 roku. Nagrodę stanowić będzie atrakcyjna kurtka wykonana z tkaniny Polartec-Malden.

Przy okazji Redakcja Tatarnika ponawia apel o nadsyłanie zdjęć nadających się do druku. Jesteśmy zainteresowani slajdami w pionie i poziomie na okładki i tzw. rozkładówkę oraz zdjęciami w formacie pocztówki w technice czarno-białej lub barwnej do ilustracji wnętrza numeru. Za opublikowane fotografie wypłacamy honoraria zgodnie z aktualnymi stawkami.

Prosimy nie podpisywać zdjęć na odwrocie, gdyż się od tego niszczą!

Redakcja



Magda Polanowska na wschodnim wierzchołku Elbrusa 5621 m.

Fot. Julita Karaś

Aresztowanie i śmierć Mariusza Zaruskiego w świetle dokumentów NKWD

Dzięki kontaktom Andrzeja Paczkowskiego, prezesa PZA, z organizacjami „Memoriał” i „Karta” trafiły do „Taternika” dokumenty NKWD dotyczące aresztowania i śmierci Mariusza Zaruskiego. Teczka zawiera kserokopie 54 oryginalnych akt i dokumentów sporządzonych przez funkcjonariuszy NKWD z okręgu lwowskiego. Wiele z nich ma pieczętki i napisy - „chronić wiecznie” lub „so-wierszenno siekretno”.

Teczkę otwiera karta z napisem „Dielo” (Sprawa) nr 29044. Z dokumentów wynika, że Zaruskiego aresztowano we Lwowie 31 marca 1940 roku w mieszkaniu przy ul. Dunin-Wasowicza 44. Nakaz aresztowania podpisał por. Fomin. Zaruski używał wtedy fałszywego dowodu osobistego na nazwisko Konstanty Sidorowicz. Tak też podpisuje pierwsze zeznania, z tym że już w dniu aresztowania przyznaje się do prawdziwych danych. Zaruskiemu zarzucono w śledztwie, że był generałem polskiej armii i ukrywał się pod fałszywym nazwiskiem od października 1939 roku do chwili aresztowania. Napisano również, że fałszywy dokument wydała mu „kontrewolucyjna powstańcza organizacja”. Oskarżenia potwierdzone są zeznaniami Józefa Paska, który Zaruskiego rozpoznał i doniósł o tym NKWD w dniu 30 marca 1940 roku.

Śledztwo zakończono 29 marca 1941 roku i wyrokiem sądu NKWD postanowiono zesłać Zaruskiego jako „socialno-opasnyj element” (element społecznie niebezpieczny) na 5 lat zsyłki do Krasnojarskiego Kraju, licząc bieg „kary” od 31 marca 1940 roku.

Mariusz Zaruski do miejsca zsyłki nie dojechał. Zmarł w więziennym szpitalu w Chersoniu na



Fałszywy dowód osobisty na nazwisko
Konstantego Sidorowicza.

Ukrainie 8 sierpnia 1941 roku o godz. 21.55. Taki zapis zawiera akt zgonu wystawiony przez naczelnika szpitala L. Astrachowa. Ten sam dokument informuje, że Zaruski przebywał w „tłumemnoj bolnice” od 9 do 27 listopada 1940 roku i od 7 do 17 lutego 1941 roku. Od 28 lutego do chwili śmierci Zaruski nie opuszczał szpitala. Jako przyczynę zgonu podano chorobę serca.

z moim imieniem i nazwiskiem
M. Sidorowicz
podpisał 4.10.1940
zoc. z kierownikiem

Podpisy Mariusza Zaruskiego z lewej jako
Konstantego Sidorowicza z protokółów zeznań.



Odpis z protokołu nr 34.

Razem z Marianem Zaruskim aresztowano jego żonę Izabellę. Powód aresztowania - ukrywanie się pod fałszywym nazwiskiem. Zesłano ją do okręgu noworosyjskiego. Zebrane w teczkę dokumenty mówią, że w maju 1989 roku na podstawie ustawy z dnia 16 stycznia 1989 roku Izabella i Mariusz Zaruscy zostali zrehabilitowani. Po upływie tak długiego czasu władze ZSRR jeszcze zajmowały się ich sprawami i uzupełniały dokumenty.

Kim był Mariusz Zaruski i jaki jest jego wkład w dzieje taternictwa nie wymaga wyjaśnień. Teczka przekazana przez „Memoriał” rzuca nieco światła na okoliczności jego śmierci. Kolejna biała plama została częściowo zapełniona dzięki dokumentom, które przed laty naznaczono pieczęcią - „strzec po wieczne czasy”.

Andrzej Kłos



Rys. Jacek Wiejacksi

Jaskinie i speleologia

V Sympozjum Pseudokrasowe

We wrześniu 1994 r. odbyło się w Szczyrku V Międzynarodowe Sympozjum Pseudokrasowe zorganizowane przez Speleoklub Bielsko-Biala. Wydane z tej okazji materiały i streszczenia referatów obejmują zagadnienia związane z niekrasowymi jaskiniami Polski, Czech, Słowacji, Niemiec i Węgier. Podsumowany w nich został szczegółowo stan eksploracji w polskich Karpatach fliszowych i w piaskowcach regionu świętokrzyskiego. Wg Grzegorza Klassa do dnia 31 maja 1994 r. we fliszu karpackim zinwentaryzowano 318 jaskiń i schronisk o łącznej długości 6440 m. Cytowanie tu danych szczegółowych w tym wypadku mija się z sensem, gdyż w ciągu wakacji nastąpił dalszy, znaczny postęp prac i odkryć. Warto natomiast przytoczyć zaprezentowane przez Jana Urbana i Andrzeja Kaszę wyniki inwentaryzacji jaskiń w dolnotriasowych i dolnojurańskich piaskowcach obrzeżenia Gór Świętokrzyskich, badanych na większą skalę od połowy lat osiemdziesiątych. Zlokalizowane są one na ogół w obrębie piaskowcowych skałek. Autorzy zarejestrowali 19 jaskiń i schronisk skalnych. Najdłuższą jest Jaskinia Św. Barbary koło Krynek (18 m), 13 kolejnych mieści się w przedziale 5-10 m, 4 schroniska mają długość do 5 m, a jedyna studnia osiąga 2 m głębokości. (rk)

W Gouffre Berger

Na przełomie lipca i sierpnia br., wspólnie z większym zespołem grotolazów z północnej Francji, działała w jaskini licząca 8 uczestników ekipa z Sekcji Taternictwa Jaskiniowego KW Kraków kierowana przez Michała Gradzińskiego. Uczestnicy dokonali zejść do następujących głębokości: syfon -1122 m (Tadeusz Kuchno), -1122 m bez dopłynięcia do syfonu (Marcin Wawryka), -950 m (M. Gradziński, Beata Michalska), ok. -900 m (Marzena Biała, Radosław Urbanik), ok. -650 m (Wojciech Klimek) i -550 m (Michał Banaś). (r)

70-lecie Jaskiń Demianowskich

W 70-lecie udostępnienia turystom Jaskiń Demianowskich odbyła się w październiku br. w Lip-towskim Mikulaszu sesja naukowa poświęcona ich udostępnieniu, ochronie i badaniom. W tamtejszym Muzeum Słowackiego Krasu i Ochrony Przyrody otwarta została okolicznościowa wystawa poświęcona ochronie przyrody i jaskinioznawstwu. W towarzyszącym jej wydawnictwie opublikowano listę najwcześniej udostępnionych dla ruchu turystycznego jaskiń Europy Środkowej. Były to:

1. Vilenica (Słowenia) 1633 r.
2. Baradla (Węgry) 1806 r.
3. Postojnska jama (Słowenia) 1819 r.
4. Grasslhöhle (Austria) 1824 r.
5. Jasovská jaskyňa (Słowacja) 1846 r.
6. Chýnovská jeskyně (Czechy) 1868 r.
7. Hermannshöhle (Austria) 1868 r.
8. Dobšinská ľadová jaskyňa (Słowacja) 1871 r.
9. Sloupsko-Šoštovské jeskyně (Czechy) 1880 r.
10. Belianská jaskyňa (Słowacja) 1882 r.
11. Jeskyně na Špičáku (Czechy) 1884 r.
12. Abaliget-barlang (Węgry) 1884 r.
13. Skocjanske jame (Słowenia) 1884 r.

Regina Kardaš

Manewry szkoleniowe

W dniach 16-20 listopada 1994 roku w Zakopanem odbyły się międzynarodowe manewry szkoleniowe w ratownictwie jaskiniowym. Impreza została zorganizowana przez Komisję Taternictwa Jaskiniowego PZA, kierował nią Wojtek Radecki, a w prowadzeniu zajęć wspomagali go Aleksander Chruściel i Krzysztof Recielski. Wśród uczestników, oprócz zaproszonych gości - 3 Francuzów i 4 Chorwatów, znalazło się 7 kandydatów na instruktorów taternictwa jaskiniowego z całej Polski.

W ramach tego międzynarodowego spotkania zostały przeprowadzone wykłady i ćwiczenia z autoratownictwa i ratownictwa jaskiniowego. Zajęcia w terenie odbyły się w Dolinie ku Dziurze, w Jaskini Kasprowej Średniej i w Jaskini Czarnej. Radą, pomocą i doświadczeniem wspierali nas dwaj TOPR-owcy: Witold Cikowski i Robert Kidoń.

Krzysztof Recielski

W dniach 21-23 października 1994 r. odbył się w Dukli (Beskid Niski) doroczny zjazd badaczy krasu zorganizowany przez Sekcję Speleologiczną PTP im. Kopernika i Speleoklub Bielsko-Białą. Wiodącą tematyką sympozjum były jaskinie pseudokrasowe. Uczestnicy, 27 osób z różnych ośrodków w kraju i jedna z Hiszpanii, w czasie dwóch wycieczek prowadzonych przez Tomasza Młeczka i Grzegorza Klaskę zwiedzili 14 jaskiń znajdujących się w obrębie Kilanowskiej Góry (w tym najdłuższą - liczącą 190 m Gangusiową Jamę) i Cergowej Góry. W trakcie referatów G. Klassek podał aktualne dane dotyczące wielkości i rozmieszczenia jaskiń wyeksploatowanych w polskich Karpatach fliszowych: 346 obiektów o łącznej długości 6725 m, z czego 12 jaskiń przekracza 100 m długości, a 6 - 16 m głębokości.

W czasie sesji „Nowoczesne metody badań jaskiniowych”, Helena Hercman przedstawiła nowe wyniki wykonanych przez siebie w Norwegii datowań nacieków z jaskiń Polski metodą uranowo-torową. Badania te (około 150 wyników) kilkakrotnie powiększają wiedzę na temat wieku nacieków w naszych jaskiniach.

Regina Kardaś

Głębokość Śnieżnej Studni

Wiktor Bolek nadesłał list, w którym słusznie zwraca uwagę, że korekta danych pomiarowych „pogłębiająca” drugą jaskinię Polski o 3 m została już oficjalnie ogłoszona przez Grzegorza Albrzykowskiego w numerze 2 *Jaskiń* na s.17 (możliwość tę sygnalizowałem kiedyś w T.1/91). Wyjaśnia to ostatecznie wątpliwości wyrażone w poprzednim numerze Tatarnika w przypisie redakcyjnym na s. 55 i potwierdza podaną w artykule wielkość deniwelacji: 752 m (-715, +37). Biję się w piersi!

Rafał Kardaś

Staż instruktorski

Na przełomie października i listopada 1994 r. Robert Kidoń i Wiktor Cikowski z Zakopanego oraz Jarosław Gutek z Bielska-Białej uczestniczyli w stażu zorganizowanym w Pirenejach przez Francuzów dla instruktorów tatarnictwa jaskiniowego. Wytypowała ich Komisja Tatarnictwa Jaskiniowego PZA na zaproszenie Speleo Secourse Francoise. Francuzi pokrywali koszty pobytu, a ubezpieczenie i przejazd pokrył PZA. W szkoleniu uczestniczyło 15 Francuzów i 3 Polaków. Intensywne zajęcia odbywały się codziennie nie tylko w dzień, ale również nocą.

Wieczorami omawiano i analizowano poszczególne ćwiczenia i słuchano wykładów. Ci, którzy zaliczyli staż, otrzymali certyfikaty ze stopniem - kierownik wyprawy ratunkowej. Mają je wszyscy trzej Polacy.

(ak)

Jesienią tego roku okrągłe jubileusze świętowały dwa zasłużone kluby jaskiniowe. W dniach 5-6 listopada spotkanie z okazji 25-lecia istnienia urządził w ośrodku „Transbud - Pogoria” Speleoklub Dąbrowa Górnicza. Natomiast 40-lecie Speleoklubu Warszawskiego świętowano od 11 do 13 listopada w pensjonacie „Olczanka” w Olczy k. Zakopanego. Jubilatów redakcja Tatarnika życzy 100 lat co najmniej równie owocnej działalności.

(rk)

Migawki z eksploracji

* Nowa jaskinia odkryta została w Kamieniołomie Śmierci w Wojcieszowie (G. Kaczawskie) w czerwcu 1993 r. Jak podaje „Wiercica” nr 73 Jaskinia Śmiertelna ma ok. 50 m długości i ok. 20 m deniwelacji.

* Po kilkakrotnych przymiarkach udało się pokonać Syfon Marzeń w Wielkiej Śnieżnej. W lutym 1994 r. dokonały tego niezależnie dwie konkurujące ze sobą ekipy warszawskich nurków-grotolazów: jako pierwsi Irena Szymczak i Tomasz Witkowski, a następnie Krzysztof Starnawski i Rafał Szaniawski (Speleoklub Warszawski). Za mierzącym ok. 18 m syfonem, przez który napływa woda spadająca Parszywą Siedemnastką do Syfonu Dziadka, odkryty został korytarz doprowadzający pod próg z wodospadem oraz boczny, bardzo ciasny syfon.

* Niewiele już brakuje do połączenia partii eksplorowanych przez Sekcję Grotolazów KW Wrocław z Galerią Krokodyla w Wielkiej Śnieżnej z Maglem w Wielkiej Litworowej. Po raz pierwszy jest więc realna szansa na przekroczenie w Tatrach głębokości 800 m (deniwelacja systemu wyniesie ok. 814 m).

* Pechowy przebieg miała wyprawa SG KW Wrocław (lipiec 1994 r.) w Hochkönig (Alpy Salzburskie, Austria). Wskutek zakazu działalności wydane przez właściciela terenu uczestnicy zmuszeni byli opuścić masyw po zaledwie 8 dniach. Zdążyli wyeksplorować 5 kilkudziesięciometrowych jaskiń (w tym 4 nowo odkryte) o głębokościach do -29 m oraz kilka mniejszych obiektów.

(rk)

* Wg wstępnych doniesień kilka polskich wypraw uzyskało latem 1994 r. ciekawe rezultaty. Działający w Picos de Europa (Hiszpania) zespół Speleoklubu Wrocław (z udziałem grotolazów kieleckich) pogłębił do ok. -700 m jaskinię A-30 (w 1991 r. -552 m). W austriackich Tennengebirge wyprawa AKG AGH Kraków odkryła obiecujący ciąg galerii w jaskini Ariadna, dobre wyniki uzyskali też katowiczanie (KKS) w Hoher Göll.

(ac)

* Szwajcarski moloch - Siebenhengste-Hohlen-system osiągnął już długość ok. 160 km, prześcigając tym samym najdłuższy dotychczas Holloch (156 km). System ma 1284 m deniwelacji.

(ac)

Wieści organizacyjne

Wojciech Radecki
Komisja Taternictwa Jaskiniowego PZA

Weryfikacja instruktorów jaskiniowych

Szkolenie, weryfikacja instruktorska - nudne to zapewne tematy dla przeciętnego czytelnika. Sądzę zatem, iż za lekturę tego tekstu wezmą się głównie zainteresowani, czyli... instruktorzy jaskiniowi, dlatego też bez zbędnych wyjaśnień przystępuję do szczegółów.

Wśród grotolazów weryfikacja znalazła jakby mniej zwolenników niż wśród instruktorów taternictwa, a nawet kilka osób zareagowało na nią dość skrajnie. Fakt ten wynika prawdopodobnie z pewnej odmienności działania i szkolenia jaskiniowego od tych samych czynności wykonywanych „na powierzchni”. Działalność jaskiniowa bowiem nie jest i chyba nie będzie tak popularna jak wspinanie w jakiegokolwiek jego odmianie. Środowisko jest bardziej kameralne, a szkolenie bardzo często przybiera formę szkolenia koleżeńkiego (w dobrym tego słowa znaczeniu). Nie ma tu takiej komercji, jak w przypadku szkolenia skałkowego, czy wspinaczkowego w Tatrach, a zatem bardziej zrozumiałym może się wydawać fakt niezadowolonych z wprowadzanych zmian. Bo oto instruktorzy szkolący często za tzw. friko, względnie za niskie opłaty związane raczej ze zwrotem poniesionych kosztów, muszą płacić za to, że to robią!*

Oczywiście instruktor jaskiniowy może szkolić na „powierzchniowych” kursach skałkowych i tam „zbierać kasę”, lecz praktyka dowodzi, iż jest to zjawisko rzadkie. Osobiście rozumiem te obiekcje, co nie oznacza, że się z nimi zgadzam. Pewnym jest natomiast, że kokosów na szkoleniu grotolazów robić się nie da.

Wyżej wzmiankowane przyczyny są winne zapewne temu, że z liczby 73 instruktorów jaskiniowych teoretycznie zweryfikowanych, opłaty z tym związane wniosła do dnia dzisiejszego (w chwili składania numeru) zaledwie mniej więcej połowa. Co najmniej jedna osoba wycofała swoje papiery, gdy dowiedziała się o opłacie. Ten stan rzeczy wymusi na nas (jako środowisku), i to w niedługim czasie, jakieś globalne i radykalne decyzje.

Osobną sprawą jest przeciągające się w nieskończoność uzupełnianie danych i dokumentów, spowodowane już to przez samych zainteresowanych, już to przez pocztę. Zagrmieć powinienem w tym miejscu, gdyby nie to, że sam bez winy nie jestem... Cóż, codzienna rzeczywistość powoduje iż na bok czasami odłożyć muszę wszelkie sprawy nie związane z zarabianiem na życie.

Reasumując, podana poniżej lista instruktorów jaskiniowych składa się z dwóch części. Pierwsza z nich dotyczy instruktorów zweryfikowanych, którzy do czasu napisania tej notatki wnieśli opłaty (i informacja o tym dotarła do mnie). Następna zaś

zawiera nazwiska tych, którzy spełniając pozostałe warunki nie wnieśli stosownej opłaty i nic nie stoi na przeszkodzie, by otrzymali książeczki instruktorskie... poza tym jednym warunkiem. Gdy tylko dotrze do mnie wiadomość o dokonaniu wpłaty, lub uzupełnione zostaną inne braki - np. brak zdjęcia (trudno nawet obecnie wypisywać jakiegokolwiek dokument niemal in blanco), legitymacje instruktorskie wymienionych na niej kolegów zostaną wystawione.**

Zweryfikowani Instruktorzy Jaskiniowi - z wystawionymi legitymacjami (lista I)

Starsi Instruktorzy taternictwa jaskiniowego:

1. Aleksander Chruściel	Speleoklub Dąbrowa Górnicza	203
2. Andrzej Ciszewski	KKTJ Kraków	205
3. Rafał Kardaś	Speleoklub Warszawski	117
4. Ryszard Knapczyk	KKTJ Kraków	246
5. Stanisław Kotarba	KKTJ Kraków	228
6. Piotr Kulbicki	AKG AGH Kraków	213
7. Jan Orłowski	KKTJ Kraków	74

Instruktorzy taternictwa jaskiniowego:

1. Grzegorz Albrzykowski	Speleoklub Tatrzański Zakopane	201
2. Anna Antkiewicz	SKTJ Nowy Sącz	202
3. Artur Chorabik	KKTJ Kraków	233
4. Zofia Chruściel	Speleoklub Dąbrowa Górnicza	204
5. Andrzej Czubalski	Speleoklub Warszawski	206
6. Marcin Francuz	Speleoklub Warszawski	207
7. Marek Freus	SG KW Wrocław	208
8. Agnieszka Gajewska	Speleoklub Warszawski	224
9. Jerzy Ganszer	Speleoklub Bielsko-Biała	209
10. Jarosław Gutek	Speleoklub Bielsko-Biała	211
11. Olgierd Jokiel	SG KW Wrocław	243
12. Witold Jokiel	SG KW Wrocław	244
13. Robert Kidoń	Speleoklub Tatrzański Zakopane	251
14. Dariusz Krysta	Speleoklub Bielsko-Biała	212
15. Ewa Libera	Speleoklub Dąbrowa Górnicza	215
16. Wacław Michalski	Speleoklub Bielsko-Biała	217
17. Waldemar Mucha	Speleoklub Aven Sosnowiec	218
18. Janusz Paziewski	Speleoklub Tatrzański Zakopane	250
19. Włodzimierz Porębski	Speleoklub Dąbrowa Górnicza	258
20. Tomasz Pryjma	Speleoklub Warszawski	219
21. Jerzy Pukowski	Speleoklub Bielsko-Biała	220
22. Wojciech Radecki	KKTJ Kraków	210
23. Krzysztof Recielski	Speleoklub Warszawski	225
24. Jarosław Rogalski	AKG AGH Kraków	221
25. Stefan Stefański	Speleoklub Warszawski	134
26. Ewa Wójcik	KKTJ Kraków	226
27. Jerzy Verey	KKTJ Kraków	227
28. Czesław Zabrzeński	SKTJ Nowy Sącz	222
29. Lubomir Zawierucha	Speleoklub Bielsko-Biała	223

Zweryfikowani Instruktorzy Jaskiniowi - bez licencji w 1994 r. (lista II)

Instruktor senior:

1. Stanisław Misztal	Speleoklub Aven Sosnowiec	229
----------------------	---------------------------	-----

Starsi Instruktorzy taternictwa jaskiniowego:

1. Kazimierz Buchman	SG KW Wrocław	231
2. Leszek Dumnicki	STJ KW Kraków	236
3. Krzysztof Makowski	Speleoklub Warszawski	254
4. Zbigniew Rysiecki	KKS Katowice	260
5. Stanisław Rzeźnik	STJ KW Kraków	261

Instruktorzy taternictwa jaskiniowego:

1. Artur Amirowicz	STJ KW Kraków	230
2. Marcin Chlebowski	SG KW Wrocław	232
3. Przemysław Chrobak	Speleoklub Częstochowa	234
4. Krzysztof Dudziński	Speleoklub Tatrzański Zakopane	235
5. Robert Fiszer	Speleoklub Częstochowa	237
6. Andreas Grbl	Speleoklub Bielsko-Biała	238
7. Krzysztof Hancbach	nie zrzeszony	239
8. Grzegorz Jabłoński	SG KW Wrocław	240
9. Marek Jędrzejczak	Speleoklub Wrocław	242
10. Tomasz Kliś	SG KW Wrocław	245
11. Krzysztof Krawiec	Speleoklub Warszawski	247
12. Wiesław Krupski	AKG AGH Kraków	248
13. Jacek Kupras	Speleoklub Bielsko-Biała	214
14. Bronisław Łabanowicz	KKS Katowice	249
15. Damian Lisoń	KKS Katowice	252
16. Izabella Luty	Speleoklub Warszawski	253
17. Artur Madej	KKTJ Kraków	216
18. Włodzimierz Matejuk	Speleoklub Dąbrowa Górnicza	255
19. Dariusz Pięta	Speleoklub Dąbrowa Górnicza	256
20. Andrzej Porębski	Speleoklub Dąbrowa Górnicza	257
21. Włodzimierz Rudolf	KW Rzeszów	259
22. Marek Siarkowski	SG KW Wrocław	262
23. Magdalena Stupińska	STJ KW Warszawa	263
24. Piotr Stupiński	STJ KW Warszawa	264
25. Waldemar Uhl	KKTJ Kraków	265
26. Wojciech Wasilewski	Speleoklub Warszawski	266
27. Maciej Włosek	Speleoklub Dąbrowa Górnicza	267
28. Przemysław Włosek	Speleoklub Dąbrowa Górnicza	268
29. Janusz Zięba	Speleoklub Akademicki Poznań	269
30. Jerzy Zygmunt	Speleoklub Częstochowa	270

* Chodzi tu o opłatę licencyjną - patrz T.1/94, s.66. (red.)
 ** W chwili gdy numer Taternika dotrze do rąk czytelników, zaistnieje konieczność wykupienia licencji na kolejny rok, tak więc zawartość obu list instruktorów może ulec zmianie. Należy pamiętać, że niewykupienie aktualnej licencji nie oznacza utraty stopnia instruktorskiego, tylko nieposiadanie uprawnień do podejmowania szkolenia w danym roku.

(red.)

Uwaga, młodzi i ambitni!

Zarząd Polskiego Związku Alpinizmu widzi możliwość dofinansowania ambitnych przedsięwzięć wspinaczkowych w Tatrach w sezonie zimowym i latem i zimą w górach lodowcowych. Zainteresowanych prosimy o nadsyłanie pod adresem PZA dokumentów umożliwiających rozpatrzenie wniosków. Należy w nich podać cel wyjazdu i przedstawić skład osobowy z krótkim opisem górskiej kariery uczestników. Niezbędny jest najprostszy preliminarz kosztów.

Dofinansowane mogą być obozy jak również wyjazdy na jedną trudną drogę, jeśli istnieje prawdopodobieństwo realizacji celu.

Wyjazdy mogą być rekomendowane przez kluby, przyjmowane będą również zgłoszenia indywidualne.

Ta forma pomocy finansowej ma w zamyśle Zarządu PZA promować młodych, ambitnych wspinaczy chcących realizować trudne zamierzenia, ale ograniczonych możliwościami finansowymi.



Tradycyjne, jesienne zebranie Zarządu w „Bettejemce”.

Fot. W. Świąteczki

Panuje urodzaj na książki górskie, żadna jednak nie zdobyła takiej popularności, jak „Komin Pokutników” Jana Długosza. Na przestrzeni dwóch czy trzech lat ukazały się 4 wydania tej pozycji. O ile trzy z nich są niezbyt starannymi (żeby nie rzec „niedbałymi”) przedrukami, czwarte - zrealizowane przez oficynę TEXT Krzysztofa Łozińskiego - stanowi wydanie oryginalne, skonfrontowane z manuskryptami i pierwodrukami i opatrzone obszernymi komentarzami. Czytelnicy z naszego pokolenia zgodnie stwierdzają, że o ile same teksty Długosza - znane im przecież sprzed lat - są dla nich cenne tylko z uwagi na ich zbliżenie do wyjściowych wersji autorskich, o tyle pasjonującą lekturę stanowią owe komentarze i przypisy, z wątkami tak sensacyjnymi, jak odnalezienie walizki oryginalnych rękopisów i papierów Palanta, które pozwolą na pomnożenie dorobku pisarskiego naszego przyjaciela niemal w dwójnasób. Całość opracowania jest zasługą redaktorki katowickiego „Opty-Sportu”, Ewy Dereń oraz Grzegorza Głazka z Warszawy. Do tej pory z takim aparatem krytycznym i studyjnym podchodzono do twórczości klasyków w rodzaju Słowackiego, Norwida czy Asnyka - przy książce takiej, jak „Komin”, jest to praktyka całkowicie nowa i warta zauważenia. Wydawcy nie szczędzili też wysiłków, by wyłowić tkwiące błędy, a także wyjaśnić i naświetlić liczne nie całkiem jasne fakty. Drogą rozmów z bohaterami i świadkami powstania książki udało im się wydobyc na światło dzienne wiele zdarzeń, które tym samym zostają „ocalone od zapomnienia” (Gałczyński, tak chętnie czytany w tamte lata w „Kurniku”). Redaktorzy i wydawcy obiecują nam ciąg dalszy w postaci „dzieł zebranych” Długosza - materiałów uzbierało się na 4 księgi (tom 2 jest już gotów do produkcji). Gratulacje dla TEXTU i słowa podziękowania dla obojga młodych redaktorów - w swej benedyktyńskiej staranności trochę niedzisiejszych. Ale tak trzymać!

„Głos Seniora”

W grudniu 1994 roku ukazała się druga książka wydawnictwa TEXT z tej serii. Jest to „Flirt z Czarną Panią” Jana Długosza, opracowany równie starannie jak „Komin Pokutników”.

Redakcja „Taternika” dziękuje Krzysztofowi Łozińskiemu, który przestał być naszym wydawcą, za wszystko co przez ostatnie lata robił aby pismo mogło się ukazywać.

Walny Zjazd

Uchwałą Zarządu Polskiego Związku Alpinizmu z dnia 7 grudnia 1994 roku ustalono, że Walny Zjazd Delegatów PZA odbędzie się w dniach 25-26 listopada 1995 roku w Zakopanem. Będzie obowiązywał ten sam „Klucz Wyboru Delegatów” na WZD PZA jak na ostatnim zjeździe. Szczegóły w komunikatach rozsyłanych do klubów i organizacji zrzeszonych w związku.

- 1 - Hanna Wiktorowska - interview
- 2 - Lhotse '94 - the finished trilogy
- 4 - Dhaulagiri or weather report
- 7 - KR8 conquered
- 10 - Borondo Sar
- 11 - The Welsh story
- 13 - British Mountaineering Council
- 15 - „New ski trails” in the Tatras
- 17 - How to take pictures
- 22 - Window shopping
- 26 - „Betleensa”
- 28 - Additional values
- 30 - News from the Tatras
- 34 - The UIAA congress
- 37 - Sport climbing
- 39 - News from the mountains
- 44 - Caves and speleology
- 46 - PZA instructors of cave exploration

TATERNIK

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU
POŚWIĘCONY SPRAWOM TATERNICTWA
ALPINIZMU I SPELEOLOGII

Wydawca: Polski Związek Alpinizmu,
ul. Erasma Ciołka 17, p. 208: 01-445 Warszawa,
tel. 36-36-90

Redaktor: Andrzej Kłos, ul. Murzynowskiego 7/14
10-684 Olsztyn, tel. domowy 42-85-92

Kolegium redakcyjne:

Andrzej Kłos, Wojciech Świąciecki, Rafał Kardaś

Realizacja wydawnicza (skład, łamanie):

Ryszard Gliński

Druk: Warszawska Drukarnia Naukowa

Warszawa, ul. Śniadeckich 8

Wydawca i dystrybutor: AGADE s.c.

01-691 Warszawa

ul. Gdańska 22, tel 39-03-41

Redakcja prosi tych autorów, którzy piszą teksty na komputerze o przekazywanie ich w formie dyskieciek (zwracamy) w programie TAG, Page Maker, Word For Windows, Ami PRO i inne.